

Biblioteka

U. M. K.

Toruń

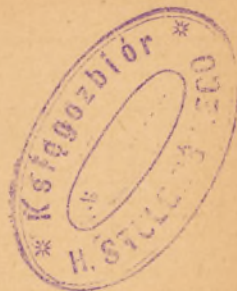
302020

243



ROK DRUGI
KONSTYTUCJA

310



ROKU DRUGIEGO
KONSTYTUCJI.

Krogulec i Ner-Buch

ROKU DRUGIEGO
KONSTYTUCJI.

SATYRY.



WARSZAWA — MDCCCCVII.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
E. WENDE i S-ka (T. HIŻ i A. TURKUL).



309.020

k. 1620/58

DO LIRY.

Liro, ty moja śpiewna,
Bądź nieczuła jak z drewna,
Precz z śpiewaniem ochoczem!

Ludzie gniewni, drażliwi,
Na pieśń każdy się krzywi,
Śpiewać niema dziś o czem.

Gdy zahaczę endeka,
Pewna kłapa mnie czeka
I przyjęcie jak z lodu;

Cała partya zawoła:
„Oto macie warchoła!
Oto zdrajca narodu!”

Gdy zaczepię pepesa,
Może na łbie być kresa
Lub na grzbiecie siniaki,

Bo przyleci bojówka
I wypisze, bez słówka,
Swego gniewu oznaki.

Z rządem zacząć nie można,
Bo to także rzecz zdrożna,
Nie żartować dziś z władzą!

Za satyry figlarne
Wyślą w kraje polarne
Lub do ciupy gdzie wsadzą.

Zmilknij przeto, o liro!
Nie karm ludzi satyrą,
Nie chciej rwać się do lotów!

Z jednej strony masz krzyki,
Z drugiej gorsze — bo wnyki,
Z trzeciej: Pawiak, Mokotów.

* * *
Liro, ty moja śpiewna,
Boskim Muzom pokrewna,
Złe dziś nastały czasy.

Woli minstrel niektóry
Dawną erę cenzury,
Niżli tę wolność prasy.

Mógł frazesy bez treści,
Mdłe poezje, powieści
Lać w gazetach, jak wodę.

Stąd podwójne miał zyski,
Bo i od wiersza dyski
I reklamę w nagrodę.

Gdy nie był bity w ciemię,
Składał ducha anemję
Na czerwony ołówek,

I wnet krzyczała tłuszcza:
„Cenzura mu nie puszcza,
Genjusz to — nie półówek!”

Przebóg! teraz inaczej:
Dźwięk, brzęk mało dziś znaczy,
Trzeba myśl mieć na względzie —

Wobec takich wymagań,
Pęknij, liro, bez wzdragań,
Niepotrzebneś narzędzie!

NIECH ZWRÓCĄ.

— Niezadługo mamy dostać samorząd w Królestwie: miejski i ziemski. Czytałem w Kurjerze.

— A zapłaciłeś już abonament za ten Kurjer?

— Dawno.

— To, wiesz co, idź, niech ci zwróca pieniądze.

BEZ FATYGI.

— Czytujesz „*Nowe Wremja*“?

— Po co? U nas w domu jest deńszczyk, co sobie codzień ze stróżem wymyśla, więc mam ten sam styl bez fatygi.

POMYLIŁ SIĘ.

— Jakże się w Warszawie zaroilo od ludzi! Taki tłok!

— Popowracali ludziska z letnich mieszkań.

— Tak? No, patrz, a ja myślałem, że otworzono i wypróżniono ze dwa więzienia.

CIĄGNIE GO.

— Chciałbyś być obecnym prezesem warszawskich teatrów?

— Nie.

— A vice-prezesem?

— Też nie.

— Dla czego?

— Ty, łobuzie, tak mnie za słówka ciągniesz, ażebym zapłacił trzy tysiące rubli, albo poszedł na trzy miesiące do kozy?

A JEDNAK...

Wywiad u ministra.

Djabeł (*w zwykłym swoim uniformie, kroju niemieckiego, bez żadnych oznak rangi i klasy, wchodzi do gabinetu ministra, uprzednio zrewidowany starannie przez dyżurnych agentów policyjnych*).

Djabeł (*mówi z uprzejmym ukłonem*). Moje uszanowanie waszej ekscelencji. Wasza ekscelencja pozwoli parę słów powiedzieć?

Minister. O co chodzi?

Djabeł. Chciałbym się dowiedzieć, czy ostatecznie jest konstytucja, czy jej nie ma?

Minister. A pan kto? zagraniczny?

Djabeł. To jest... właściwie... ja...

Minister. Bo jeżeli zagraniczny, to inaczej się łąze... chciałem powiedzieć... mówi.

Djabeł. Nie, ja swój.

Minister. W takim razie musiałeś pan czytać mój ostatni okólnik do gubernatorów, potwierdzający niezachwianie program z d. 24 sierpnia, który nie jest wcale konstytucyjnym.

Djabeł. O ile sobie przypominam, program ten sprowadzał się ostatecznie do szybkostrzelnego sądu, który winien, o ile możliwości, wyprzedać przestępstwo.

Minister. I tego się trzymam niezłomnie.

Djabeł. A jednak... państwo wchodzi powoli na drogę konstytucyjną.

Minister (*zrywa się z krzesła, oburzony*). Kto panu powiedział? To świadome kłamstwo!

Djabeł. A jednak... piszą o tem pisma, nie mające już dziś na sobie jarzma cenzury.

Minister (*w umiesieniu*). Nie mają cenzury, to prawda! Ale za to je się zamyka!... pismo albo redaktora. Albo jedno i drugiego!

Djabeł. A jednak... jest to do pewnego stopnia wolność słowa.

Minister (*zamysła się*). No, ale przecież cechą państwa konstytucyjnego jest nietylko wolność słowa...

Djabeł. A jednak... jest już potroszę i wolność zgromadzeń.

Minister. Ha!... ha!... dopóki ich pierwszy lepszy policjant nie zamknie.

Djabeł. A jednak... jest poniekąd i wolność stowarzyszeń.

Minister. Czyś pan się wściekł? Nawet kadeci nie ulegalizowani. Wszystko zostało po staremu. Biurokracja, jak dawniej rządzi nieograniczenie.

Djabeł. A jednak panamy biurokratyczne nie pozostają w ukryciu... jest to właśnie cechą państwa konstytucyjnego.

Minister. A to czort uparty! Mówię panu, że nic się nie zmieniło. Dawny nasz ustrój spoczywa na niewzruszonych podstawach.

Djabeł. A jednak... zwołuje pan dumę po raz drugi i jest pan gorącym agitatorzem wyborczym... zupełnie jak minister konstytucyjny.

Minister. Zwołuję po to, żeby ją rozpędzić. To mi sprawia przyjemność.

Djabeł. A jednak piszesz pan w okólniku, że chcesz być z Dumą w zgodzie.

Minister. Tylko dopóki mnie słuchać będzie.

Djabeł. A jednak... jej się pan boisz.

Minister. Co? ja się boję! Jestem nieodpowiedzialny przed nią.

Djabeł. A jednak... powoli zaczynasz się pan przyzwyczajać do odpowiedzialności ministrów... Czyżby inaczej Hurko wyleciał z posady? I to jest właśnie konstytucja!

Minister (*zrywa się wściekły, chwytając diabła za rogi i kopie go*). Łżesz!... łżesz!... Nieprawda!... Niema konstytucji!... Jest tylko dla zagranicy... dla pożyczki!... Ale naprawdę niema!... (*Woła na policjantów*). Hej, człowiek!... który tam!... Wziąć tego czorta i wysłać zaraz, bez sądu, do Szliselburga, Akatują, Nerczyńska, Narymu, gdzie chcecie!... Śmiały mówić, że u nas jest konstytucja. Jak myślicie: jest?

Policjanci (*chórem*). Tak toczno, wasze wysoko...

Minister. Niema, bydłeta, niema!

Policjanci (*chórem*). Nikak niet, wasze wysoko...

Minister. Poszli precz!... (*Do siebie*). Nic nie wiedzą, osły... No, nic dziwnego, bo i ja sam nie wiem: jest, czy jej niema?... A jednak...

(*Siada na fotelu i zamysła się, Djabeł tymczasem niknie z rąk policjantów i zmyka przez dziurkę od klucza*).

NAWET DALEJ.

— Jak sądzisz? Czy Dmowski pojedzie w listopadzie do Petersburga?

— Czemu nie? Nawet może znacznie dalej.

SUFIT SIĘ ZAWALIŁ!

djalog w 1 akcie.

OSOBY:

Pierwszy mandaryn.

Baron, stróż Dumy.

Pierwszy mandaryn siedzi, pogrążony w zadumie; wpada zdyszany **Baron**.

Baron. Wasza ekscelencjo, nieszczęście!...

Pierwszy mandaryn. Co się stało? bomba? zamach na kogo z naszych?

Baron. Nie. Zupełnie coś nowego: sufit w Dumie się zawalił!

Pierwszy mandaryn. Co pan mówisz, sufit w Dumie? I to nazywasz nieszczęściem?

Baron. Tak sędzę, wasza ekscelencjo.

Pierwszy mandaryn. I jakież skutki?

Baron. Byłyby skutki, gdyby się to stało o kilka godzin później... podczas posiedzenia. A tak, zniszczone tylko kilkaset foteli, żyrandole i inne ruchomości.

Pierwszy mandaryn (*strapiony*). Ach, tak!... To rzeczywiście nieszczęście!...

Baron. Co teraz robić? Powiedzą, że to zrobiliśmy umyślnie... że to był zamach z naszej strony.

Pierwszy mandaryn. Naturalnie. Niema potwarzy,

którejby na nas nie rzucano. Mnie, na przykład, który jestem z przekonania liberałem, nazywają stale reakcjonistą. I za co? Za to, że chcę przystosować zachodnio-europejskie formy konstytucyjne do naszych patriarchalnych zwyczajów narodowych. Poczciwego Hurkę zmuszają do ustąpienia z posady za to tylko, że był zbyt pewnym siebie w działalności urzędowej.

Baron. Ze mnie drwią nieustannie.

Pierwszy mandaryn. Nic, cierp, baronie. Order i stopień generalski będzie nagrodą za twoje cierpienia. Wracając do tego sufitu... zarządziłeś jakieś środki?

Baron. A jakże. Przedewszystkiem zakazałem bezwarunkowo wpuszczać dziennikarzy do gmachu Dumy.

Pierwszy mandaryn. Bardzo słusznie. Te wyły wszędzie włązą i zawsze wywęszą, co niepotrzeba. Ach, gdyby ich można było oddawać pod sąd polowy!... przynajmniej z pięciuset rocznie djabli by wzięli!

Baron. I tak wywęszyli, że o słabości sufitu wiedzieliśmy już podczas pierwszej Dumy.

Pierwszy mandaryn. Hm... hm... Prawdę mówiąc, ja sam myślałem, że ten sufit ułatwi nam rozpędzenie Dumy... że urządzi samorozpędzenie. A wtedy Europa nie mogłaby mieć do nas pretensji.

Baron. To też nazywają waszą ekscelencją tołstojowcem... zwolennikiem zasad Tołstoja.

Pierwszy mandaryn. Nie rozumiem.

Baron. Wyznawcą nauki „o niesprzeciwianiu się złemu”.

Pierwszy mandaryn. A łotry!... mnie porównać z tym wykleętym przez Synod bezbożnikiem!... Zate-

lefonuj pan do naczelnika miasta, żeby za to zamknął dziś kilka gazet. Wszystko jedno jakich!... które mu się nawiną pod rękę.

Baron. Z przyjemnością spełnię rozkaz waszej ekscelencji. A jakie środki mam zarządzić co do tego sufitu?

Pierwszy mandaryn. Jakie środki? hm... czekaj pan... Możeby kogo uwięzić? (*zamyśla się*). Ale kogo? Hm... zrób pan przy tej sposobności rewizję w pałacu Taurydzkim, w pokojach, przeznaczonych dla różnych partji i frakcji lewicy. Może się co wyklaruje... a potem... Aha, powiadasz pan, że fotele posłów zniszczone?

Baron. Więcej, niż połowa.

Pierwszy mandaryn. A nasze łóżce ministerjalne?

Baron. Zupełnie w całości, nie uszkodzone.

Pierwszy mandaryn. Fotele posłów strzaskane, a nasze miejsca pozostały w całości. Czy nie uważasz pan, że w tem jest palec Boży?

Baron. A prawda! Gdyby sufit zawałił się podczas posiedzenia, ministrowie ocaleliby, a warcholów spotkałaby zasłużona kara Boska.

Pierwszy mandaryn. Właśnie, właśnie... Otóż, jedź pan zaraz do ojca Joana i powiedz mu to. On, jako specjalista od cudów, niewątpliwie uzna cud w tem zdarzeniu. Niech przeto zarządzi odpowiednie środki duchowne i rozpocznie działalność misyjną, objeżdżając kraj z kazaniem na temat: „Wyrażną wolą Bożą jest, by Rosją nadal rządziła biurokracja”. Może powiedzieć, że zdanie to wyjęte z ksiąg Ewangelistów, rozdział XXX, wiersz 26 od góry, a 57 od dołu. Zresztą to już jego rzecz.

Baron. Doskonała myśl! Jadę natychmiast.

Pierwszy mandaryn. Tylko targuj się pan z nim, jak z żydem, bo stary kutwa okropnie na złoto łakomy, za dużo będzie chciał zarobić. A po drodze wpadnij pan do mandaryna Koko i powiedz mu ode mnie, żeby na mocy § 87 ustaw zasadniczych wyasygnował pół miliona rubli na działalność misyjną duchowieństwa — do rozporządzenia ministerjum spraw wewnętrznych.

O TEM, CO BĘDZIE.

- Jak wygląda taki poseł od mniejszości?
- Tutaj czy w Dumie?
- W obu miejscach.
- Tutaj to jeszcze jako tako wygląda, ale w Dumie to on wcale nie wygląda.

CO WOLNO?

- Tak się teraz boję pisać, że nie uwierzysz. Żehym choć dokładnie wiedział, co wolno, a czego nie wolno?
- Na to jest stała zasada.
- Powiedz, proszę cię.
- Słuchaj więc. Wszystko, co wolno, tego nie wolno, Tych słów się trzymaj, a zawsze utrafisz.

TRUDNO WIEDZIEĆ.

- Dużo pan ma dzieci?
- Do południa miałem czworo.
- Co to ma znaczyć?
- To, że po obiedzie wyszły z matką na spacer, a w dzisiejszych czasach trudno wiedzieć, ile z nich do domu wróci?

W OBOZIE KADETÓW.

Komedja parlamentarna.

OSOBY:

Milukow	J. Hessen
Gołowin	W. Hessen
Nabokow	Makłakow
Rodiczew	Kiesewetter.

Milukow. A więc, panowie, pozostajemy nadal przy hasle: „strzeżmy Dumy!” Posłowie niechaj będą, jak dotąd, grzeczni, zgodni i chętni do ustępstw. „Pokorne ciele dwie matki ssie”—niech będzie naczelną zasadą naszego obecnego wolnościowego programu.

J. Hessen (*do Kiesewettera*). Ma głowę nasz dowódca. Pod jego kierunkiem niewątpliwie dojdziemy do tek ministerjalnych.

Kiesewetter. Ach, te teki! Tyle razy już zdawało się, że mamy je w rękach i zawsze nam się wymykały.

Makłakow. Panowie! ze sfer dobrze poinformowanych otrzymałem wiadomość, że jeżeli jutro będzie padał deszcz, rząd uzna to za powód rozwiązania Dumy.

Wszyscy. Nie może być!

Makłakow. Wiadomość zupełnie wiarogodna. Za-

pewnił mnie o tem starszy pomocnik młodszego ogrodnika u Wittego.

Milukow. Co robić? Jak temu zapobiedz?

Rodiczew. Możeby Gołowin pojechał kogo przeprosić?

Gołowin. To jest myśl, tylko niewiadomo, kogo przeproszać. Nikt z ministrów w tych czasach na nas się nie obraził.

Rodiczew. Szkoda, żeśmy Puryszkiewicza wyrzucili z Dumy. Zawsze to człowiek wpływowy.

Kiesewetter (*nieśmiało*). Możeby jego Gołowin przepro....

Milukow. No, to byłoby może jeszcze nie na czasie.

Makłakow. Ze strony Stołypina nic nam nie grozi. Stał się obecnie konstytucjonistą *pur sang*. Mówił mi jego zaufany kamerdyner, że przez czas trwania sądów polowych oswoił się zupełnie z konstytucją.

Milukow. Rząd może się na nas zagniewać za popieranie inorodców, którzy występują z niepomiarkowanymi żądaniami. Szczególnie są nieznośni polacy ze swoją autonomją, której uczepili się jak pijany płotu.

Rodiczew. Ba! ale nie możemy ich zrażać, bo przecież trzeba się liczyć z 46 głosami.

Nabokow (*wpada zdyszany*). Panowie, fatalność! Rozwiązanie Dumy pewne. Na Newie stoi eskadra torpedowców...

Milukow. Co pan mówisz? W jakim celu?

Nabokow. Według jednych pogłosek ze sfer świadomych wszelkich tajników, ma ona bombardować Petersburg, w razie gdyby wynikły zaburzenia po

rozwiązaniu Dumy. Według drugiej wersji, ma służyć do przewiezienia posłów do fortecy po rozpedzeniu. Oprócz skrajnej lewicy, dla której urządzono tymczasowe pomieszczenia pod pokładem, są tam zarezerwowane w kajutach miejsca i dla członków naszej partji, nietylko posłów.

Rodiczew. Nieszczęście!

Kiesewetter. Co robić?

Makłakow. Możeby jechać do Wyborga?

Milukow. Dajże pan spokój, drugi raz takiego głupstwa nie zrobimy.

Nabokow. Niebezpieczeństwo jest istotnie groźne. Sfery są ciągle podirytowane działalnością Dumy, co im ujemnie wpływa na trawienie, dla ochrony więc swego zdrowia naglą o rozwiązanie. Członkowie Rady państwa, wszyscy chorzy na żołądek, powyjeżdżali już na letnie mieszkania.

Milukow. Panowie! Największą klęską na polu bitwy jest, gdy wojsko pozostaje bez wodza. Chcąc uchronić naszą partję od takiej klęski, niezwłocznie wyjeżdżam do Szwecji.

Rodiczew. A my co zrobimy?

Milukow. Będę czuwał nad wami i stamtąd przysłał wskazówki. Zresztą, jeżeli po rozwiązaniu Dumy dostaniecie się do fortecy, to sprawa będzie niezmiernie ułatwiona, z natury rzeczy bowiem musicie przestać na zupełnej bierności.

Kiesewetter. Tak, tak... niech jedzie. Nie można pozwolić, żeby nam wódza wzięto do niewoli.

Makłakow. A my czekajmy jutra.

Rodiczew. Oby przynajmniej jutro deszcz nie padał! Będzie o jeden powód mniej do rozwiązania Dumy.

POBIEDONOSCEW.

Wśród burz dziejowych i walk zawieruchy,
Któremi życie znaczy swe koleje,
Opatrzność na świat zsyła czarne duchy,
Bv ciemną plamą zamazały dzieje.
Kiedy do światła dąży ludzkie plemię,
Pragnie rozproszyć mroczne wkoło cienie,
Wtedy te duchy zstępują na ziemię
I ucisk z sobą niosą i zniszczenie.

Takim dla Rosji był zmarły mąż stanu,
Za którym idą do grobu przekleństwa;
Mąż, co wprzągł państwo do swego rydwanu,
A imię jego: „Nosiciel zwycięstwa.”
Los przez ironję dał mu takie miano,
Bo w walce z światłem tylko był zwycięski,
Lecz gdy się zetknął z potęgą nieznaną
Na krańcach Azji, nie uniknął klęski.

Ćwierć wieku we krwi swych ofiar się pławił,
Jęki ich były mu dźwiękiem muzyki,
Myśli w kajdany zakuwał i dławił,
Gdzie tylko błysły, jak błędne ogniki.
Czuwał nad grobem ludzi i kołyską,
Ściągnął kraj sznurem szpiegowskiej opieki,
Chcąc zrobić z Rosji wielkie cmentarzysko,
Gdzie postęp wszelki zamarłby na wieki.

Mówił, że Boga i praw świętych broni,
Kiedy w więzienne ludzi wsadzał nory;
Gdy Ewangelję trzymał w jednej dłoni,
Z nahajką w drugiej nauczał pokory.
Węszyły jego siepaczów czeready,
Czy gdzie do buntu nie rośnie pokusa;
Gniótl i katował — i był pewnym wtedy,
Że naśladuje Jezusa Chrystusa.

Nigdy go zwątpień nie ścigały mary,
Opatrznościowej swojej wierzył roli,
Więc tysiącami padały ofiary
Tej mocnej pięści i olbrzymiej woli.
Wciąż pragnął trzymać ster państwowej łodzi,
Wstecz cofać Rosję w majaczeniu mglistem,
Aż zmarł, gdy ujrzał, że do grobu schodzi
Umiłowany przezeń knuta system.

BAJKA.

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się,
Ale, że to się działo tu, w wojennym czasie,
Więc mądry nie rzekł na to nawet i ćwierć zdania,
Gdyż dostać się do kozy nie czuł powołania.

SŁABY W GEOGRAFJI.

- Tamtego pisma jeszcze ani razu nie skonfiskowano?
- Nie.
- Jakim to cudem się stało?
- Widzi pan, jego redaktor był od maleńkiego zawsze słaby w geografji, więc nie dziwnego, że zapomniał, iż wychodzi w Polsce.

ŚWIADKOWIE.

Prawdziwa farsa w wielu aktach.

OSOBY:

W. I. Hurko

Pani Ester-Cechowaja, właścicielka
pracowni garderoby damskiej

Eryk Lidwal, poddany szwedzki

Pan Zapłatkin, zarządca ogrodu
„Aquarium.”

Pani Sytow, dyrektorka chórów

Dina Duchowska, chórzystka

Efimow, stróż domu

Uljana Wołk, służąca.

W. I. Hurko. Kochani przyjaciele! Wicie zapewne, jaka krzywda mnie spotkała, bo podle gazety roztrąbiły wszystko. Oskarżony jestem o ukra... to jest... chciałem powiedzieć o zagubienie miljona rubli rządowych.

Pani Ester. Aj!... aj!... to nieszczęście!...

Pani Sytow. Nie martw się, kumie: zmiele się, będzie mąka, jak mówi przysłowie.

Dina Duchowska. Nic ci nie będzie, gołąbku, bo jest jeszcze drugie przysłowie: co ma wisieć, nie utonie.

W. I. Hurko. A ty, Dina, milcz. Nie zapominaj, że mówisz do rzeczywistego ra...

Dina Duchowska. Do rzeczywistego rabusia. Wiem! Wiem!

W. I. Hurko (z gniewem). Cholera, nie dziewczka! (do Lidwala): Eryk, włóż jej co w usta, żeby przestała gadać.

Pani Ester (do Diny). Sztil.

Pan Zapłatkin. Dobrze, dobrze... gadajcie, co chcecie, a ja tymczasem zaśpiewam sobie *matchicha*.

Lidwal (do Hurki). Do czorta z nią, niech wyje! A ty mów, o co chodzi.

W. I. Hurko. Kochani przyjaciele! Wszystkich was, jak tu jesteście, postawiłem na świadków w mojej sprawie. Mam nadzieję, że z waszego świadczania będę zadowolony.

Zapłatkin i Efimow. Radzi starać się, wasza ekscelencjo!

Pani Ester. Ja mogę poświadczyć w sądzie, że ekscelencja jest uczciwv i mnie nigdy trąby nie zrobił. *Auf meine... czestnoje słowo.*

Lidwal (do W. I. Hurki). Możesz być spokojny, Włodziu. Ja wydam o tobie dobre świadectwo.

Dina Duchowska (śpiewa).

I cały sąd zabawi

Wypadek rzadki:

Na świadków tam postawi

Cygan swe dziatki.

W. I. Hurko. Zapłatkin, ty przecie jej władza... Nakaz, żeby przestała orać. Madame Sytow, jaka wy dyrektorsza chórów?

Pani Sytow. Przestań, Dina... obrazi się i pójdzie, a dla nas będzie strata.

Dina. Przecież on tak lubi *matchicha*. Tyle razy sam prosił, żebym mu śpiewała.

Pani Sytow. No, tak, ale dziś jest nie w humorze.

Dina Duchowska. Ja go zaraz udobrucham. (*Podchodzi do Hurki i gładzi go po twarzy*). Mój ty flecie miły... moja piszczałko, nie gniewaj się... (*szeptu mu coś do ucha*). Pamiętasz?

W. I. Hurko. Jak nie pamiętać! Rozkosznie było!

Dina Duchowska. Ja też będą świadczyć w twojej sprawie. Przysięgnę, że nie jesteś w stanie nikomu krzywdę zrobić.

W. I. Hurko. Tfu! z takim świadczeniem!

Dina Duchowska. I to niedobrze? To już niech inni zaświadczą, a ja milczeć będę.

Zapłatkina. W tem właśnie rzecz, żeby ty choć na chwilę milczała, a to gęba u ciebie rozpuszczona.

W. I. Hurko. Oprócz was, świadczyć będzie jeszcze kilku rzeczywistych radców stanu, jeden baron i inne poważne osoby. Pamiętajcie, żeby mnie nie skompromitować.

Pani Ester. Niech ekscelencja będzie *ruhig*. To przecież nasze towarzystwo.

W. I. Hurko. Może komu potrzebna jaka informacja odemnie. Niech mówi śmiało.

Efimow (*podchodzi z ukłonem*). Zdałoby się, wasza ekscelencjo, „na czaj”.

W. I. Hurko. Ty, brat, odrazu powiedz: na wódkę, po co mnie czajem oczy mroczysz.

Efimow. I Uljana też by chciała, wasza ekscelencjo, tylko powiedziec nie śmie.

W. I. Hurko (*daje im pieniądze*). Możecie już odejść.

Efimow i Uljana (*kłaniają się*). Dziękujemy pokornie waszej ekscelencji.

Efimow (*n. s. liczy pieniądze*). Sławny pan! Dla

takiego i łąć w sądzie można z czystym sumieniem. (*wychodzi*).

(Na dalsze sceny zasłona dyskretnie spada).

DUMANIE GEN. STESLA.

Po wszechświatowej sławie
Spotyka mnie dziś kram;
Na oskarżonych ławie
Niebawem zasiąść mam.
Niech za obronę służy
Mi okoliczność ta,
Że więcej było tchórzy,
Nie tylko jeden ja.

Surowy sąd zasiędzie
Nad spisem moich win.
Surowo sędzić będzie
Myśl każdą mą i czyn.
Lecz może być, zaważy
Na szali sprawa ta,
Że więcej było łgarzy,
Nietylko jeden ja.

Oddałem port Artura,
Miał zrobić krwawy mord,
Boć milsza własna skóra,
Niżeli jakiś fort.
Nie trzeba robić krzyków,
Nie warta świecy gra:
Jest więcej łapowników,
Nietylko jeden ja!

OSTROŻNY!

- Opowiem ci wesołą anegdotkę.
- Poczekaj, zajrzę przedtem do przepisów, czy w tych czasach wolno się wogóle śmiać?

W REDAKCJI NOWEGO WREMI.

OSOBY:

A. S. Suworyn (ojciec).

A. A. Stołypin.

Prof. I. Filewicz.

Mienszykow.

Pilenko.

A. S. Suworyn. Panowie, ogłaszam otwarcie posiedzenia... jak mawiał Gołowin w Dumie.

A. Stołypin. Ha! ha! ha! Gołowin!... Siedzi teraz na wsi... w duraki poszedł!

Pilenko. Nie myślał, biedak, że tak prędko przestanie być dygnitarzem.

Mienszykow. I trzydziestu tysięcy rubelków pobierać nie będzie.

Prof. Filewicz. Ot, tobie dygnitarz... studniowy!... Emeryt bez pensji i munduru.

Mienszykow. I bez podania prośby o dymisję... ha! ha! ha!...

A. S. Suworyn. Dajcie mu pokój, panowie. *De mortuis nil nisi bene.*

Mienszykow. Nasz sławny redaktor zawsze do-wcipny. (*Kłania mu się.*)

A. S. Suworyn (*figlarnie do Mienszykowa*). Ej, ty

stary Judaszu! Pochlebiasz mi... pewnie znów chcesz podwyżki pensji.

Mienszykow. A czym na nią nie zasłużył?... przecież zawsze starałem się warcholską Dumę z błotem mieszać.

A. S. Suworyn. Dobrze, dostaniesz, ale pod warunkiem, żebyś w następnym feljetonie zadał pieprzu polakom.

Mienszykow (*zaciska pięść*). Już ja ich w barani róg skrećę! Popamiętają mnie oni!...

Prof. Filewicz. Panie redaktorze, pozwól i mnie coniebądź o nich napisać.

A. S. Suworyn. Pisz, ile wlezie. A jak pióra i atrament wypiszesz, kup sobie na koszt redakcji świeże materiały przeciw polakom.

A. Stołypin. Stali się oni nieznośni w Dumie ze swoją ciągłą opozycją i brakiem należytej pokory.

Pilenko. Przekłęci inorodcy!

Mienszykow. Intryganci wieczni!

Prof. Filewicz. A że wszędzie wleżą ze swoją polską intrygą, najlepszym dowodem to, że pierwszy wydawca naszego kochanego *Nowego Wremi* był Polak.

Mienszykow. To nie do darowania!

A. S. Suworyn. To też im nie daruję, jak i nie przebaczę tego, że, objąwszy *Nowe Wremia*, musiałem w pierwszym roku pożyczyć 30 tysięcy rubli od polskiego bankiera Kronenberga. Głupstwo tylko zrobiłem, że mu je oddałem.

Mienszykow (*z westchnieniem*). Szkoda, że to nie ja pożyczyłem! Na złość bym nie oddał.

A. S. Suworyn. Panowie! Nasza to po części zasługa, że polacy zamiast trzydziestu kilku posłów, bę-

dą mieli w trzeciej Dumie jedenastu. Dołóżmy teraz wszelkich starań, ażeby w czwartej nie było ani jednego.

A. Stołypin. Hm... może już nie będzie potrzeby?

Pilenko. Dla czego?

A. Stołypin. Bo jeżeli trzecią Dumę wypadnie rozpedzić, to dowód, że naród nasz nie dojrzał do życia konstytucyjnego i może rozwijać się tylko pod umiejętnym kierownictwem światłej, biurokratycznej oligarchji.

A. S. Suworyn. Zupełnie słusznie.

Mienszykow. *Einmal ist keinmal*—jak mówią nasi przyjaciele. Ale po trzykrotnej próbie, jeżeli się nie uda, widowisko konstytucyjne należy zawiesić.

Prof. Filewicz. A polaków w jeżowe rękawice wziąć.

Pilenko. A tymczasem pisać na nich.

A. S. Suworyn. Tak, pisać jaknajwięcej. Niech każdy z panów, tu obecnych, przygotuje jaki artykuł przeciwko polakom (*do Stołypina*) Aleksander Arkadjewicz napisze o wrogiem usposobieniu polaków do państwowości rosyjskiej, ja dam w małym feljetonie artykuł na temat: Polaki i żydy wpakują nas w biędy... prof. Filewicz niech kropnie o gwałtach, dokonywanych przez polaków w Chełmszczyźnie, a Mienszykow też co niebądź nasmaruje... Prawda, czy łgarstwo — jeden czort! Lejmy oliwę, żebv ogień nie wygasł.

Mienszykow (*uroczyście*). Niech płonie wieczwście nasz znicz polakożerczy.

HAKATYŚCI ŁÓDZCY.

OSOBY:

Herr Ernst Leonhardt
Herr Franz Schimmel
Herr Ludwik Schweickert
Herr Leopold Kindermann
Herr Rudolf Keller.

E. Leonhardt. Pozwolę sobie wyrazić panom serdeczne podziękowanie za to, że zgodziliście się zostać członkami Rady Opiekuńczej naszego niemieckiego gimnazjum.

R. Keller. Jak nie mieliśmy się zgodzić! To przecież nasz pruski obowiązek.

L. Schweickert. Gimnazjum niemieckie w Łodzi, to ważna placówka naszej wielomilionowej armji, to oaza kultury w kraju, który, mam nadzieję, będzie się kiedyś nazywał *Neudeutschland*.

F. Schimmel. *Neudeutschland!*... jak to ładnie brzmi!

L. Kindermann. Ładniej jeszcze niż *Bismarcks-Archipel* lub *Kaiser-Wilhelms-Land*.

F. Schimmel. Zwłaszcza, że *Neudeutschland* nie leży gdzieś tam daleko na oceanie, lecz w środku Europy.

E. Leonhardt. Ten kraj z prawa nam się należy,

bo jeżeli ma trochę kultury, to tylko dzięki naszej niemieckiej pracowitości i pilności.

L. Kindermann. Nasze gimnazjum łódzkie będzie ogniskiem, z którego promieniować będą przeniknięci duchem niemieckim lekarze, adwokaci, nauczyciele i inni pionierzy kultury.

R. Keller. To dopiero krzyk podniosą Polacy, gdy poczują właściwe cele naszego gimnazjum.

F. Schimmel. Polacy!... z nimi się niema co liczyć. To obywatele czwartej klasy.

L. Kindermann. Tak samo jak murzyni w naszym Kamerunie. Ha!... ha!...

L. Schweickert. Jak łatwo Polaków wyprowadzić w pole, macie przykład na mnie. Czy wiecie, *meine Herren*, że ja, *echter Preusse*, byłem przez jakiś czas gorącym Polakiem, *ein polnischer Patriot*?

R. Keller. Ale przecież powróciłeś na łono prawdziwej ojczyzny?

L. Schweickert Nigdy z niego nie schodziłem, udawałem tylko Polaka, bo nie miałem za co kształcić się w Zurychu. A oni rozczulili się i dali mi za to narodowe stypendjum z Rapperswilu.

R. Keller. (*śmiejąc się*). Ha! ha!... dobry *Witz!*... przepyszny!...

L. Kindermann (*ocięra tży chustką*). Aż się popłakałem ze śmiechu!... Ty masz *Kopf*, Schweickert. Takich nam potrzeba jaknajwięcej!

F. Schimmel. *Ja, ja...* gdyby takich było więcej, to Polacy gotowiby oddać wszystkie swoje narodowe fundusze na nasze niemieckie gimnazjum.

L. Kindermann. Obejdziemy się bez ich pieniędzy, będziemy mieli dosyć swoich. Odezwa, posłana do

fabryk i firm naszej ojczyzny niemieckiej, dała świetne rezultaty. Z całych Niemiec wpływają składki i udziały, wobec czego możemy być pewni, że gimnazjum łódzkie przyniesie zaszczyt imieniowi niemieckiemu.

E. Leonhardt. *Sehr gut... sehr gut...*

L. Schweickert (*śpiewa*):

Lieb Vaterland, magst ruhig sein!

Du hast den Rhein,

Die Weichsel wird auch baldigst dein.

R. Keller. Brawo, Schweickert! Nie wiedziałem, że umiesz tworzyć patryjotyczne pieśni.

L. Schweickert. Zaśpiewam ich więcej, tylko każcie podać piwa.

F. Schimmel. Wypijmy za sławę naszej ojczyzny germańskiej.

L. Kindermann. I za rozwój naszej przyszłej kolonji murzyńskiej... *Neudeutschland*.

E. Leonhardt. *Hoch Vaterland! Wilhelm Hoch!*

RADA.

Myśl, co chcesz, na co masz gust,
Lecz nie puszczaj pary z ust,
Zamknij buzię, bo jak nie,
To napewno zamkną cię.

RÓŻNICA.

- Przez obcięcie Chełmszczyzny, stracimy 758,000 dusz.
 - Mylisz się, duszy ani jednej nie stracimy, tylko 758,000 ciał.
-

NASZ HIGH-LIFE ZAGRANIĄ.

obrazek szary.

OSOBY:

Hrabia na cienkich nóżkach.

Hrabia z monoklem.

Hrabina.

Rzecz dzieje się w jednym z badów niemieckich.

Hrabia na cienkich nóżkach. Zazdroszczę dophawdy tym Niemcom! Jaki tu ład i porządek w tym khaju!

Hrabia w monoklu. Można żyć sobie spokojnie, nie tak jak u nas.

Hrabina. *Pauvre pays* nasza Polska! Dawniej mieszkałam w kraju przynajmniej trzy miesiące w roku. Dziś życie w nim stało się nieznośnem.

Hrabia na c. n. Ja już od hoku tam nie byłem. Nie mogłem patrzeć na to, co się działo, sehce mi się ścisnęło.

Hrabina. Hrabia jesteś, widzę, wielkim patrjotą.

Hrabia na n. c. *Natuhellment!* To nasz obowiązek, jako klasy przodującej w khaju.

Hrabia z monoklem. Niestety, chcą nas dziś strącić z tego stanowiska.

Hrabia na c. n. Biedni ludzie! W głowie im pomieszały te sthajki, *passesz moi le mot*—hewolucja.

Hrabina. Nie pojmują, że arystokracja istniała od wieków i istnieć będzie na wieki. Tak już od Boga dane.

Hrabia na c. n. Idą wbrew woli Boskiej.

Hrabia z monoklem. Za to spotyka ich kara, bo my, nie mogąc patrzeć na to, co się dzieje, mieszkamy zagranicą, a to zuboża kraj.

Hrabia na c. n. Wspiehalśmy przecież handel khajowy od czasu do czasu. A jeżeli potrzeby swoje głównie zaspakajaliśmy zaghanicą, to i tak z tego był zysk dla khaju... co mówię!... dla państwa, bo przecież płaciliśmy cło. Według mnie, nie chodzi o zahobek jednostek, ale o zysk dla państwa. To jest właśnie dobrze pojęte dobho ogółu.

Hrabina. Hrabia jesteś urodzonym mężem stanu.

Hrabia na c. n. Intehesowały mnie zawsze kwestje społeczne i państwowe. W uznaniu moich zasług na tem polu, mianowano mnie szambelanem J. K. M. księcia Monaco i tajnym podkomorzym J. K. M. króla Sjamskiego.

Hrabia z monoklem. Niema to jak urzędy dworskie! Najzaszczytniejsze stanowiska.

Hrabina. Ja tak bym chciała, żeby mój mąż został kamerjunkrem.

Hrabia na c. n. Ma pani hację, to dla nas jedyna odpowiednia kahjeha dwowska: lub dyplomatyczna, w ktohej możemy działać, nie łącząc się z motłochem.

Hrabia. Ach, ten motloch! *il est insupportable!*

Hrabia z monoklem. Zburzyć chce wszystko, zniszczyć i rzuca się na najświętsze zasady, jak np. własność. To okropne. A to wszystko dla tego, że nie

mamy w kraju dobrej policji. Dla czego w Niemczech tego wszystkiego nie ma? Bo tu policja i żandarmerja stanowią podstawę porządku społecznego.

Hrabia na c. n. Pahdon! Staję w obhonie naszej policji. Wykazuje ona tehoz wiele enehgji i spheżystości.

Hrabia z monoklem. Tak, może być, ale nie będzie dobrze, dopóki przeciętny człowiek nie będzie się bał pomysleć co złego, w obawie, że policja myśl jego odgadnie. Wtedy zostanie osiągniony ideał porządku państwowego.

Hrabina (*z westchnieniem*). Ach, u nas nigdy do tego nie dojdzie!

Hrabia na c. n. Nahód nasz jest mało kultuhalny i niespokojny. Mamy przecież w Euhopie opinję wiecznych hewolucjonistów.

Hrabia z monoklem. Co najsmutniejsze, że ten cień z całego narodu i nas spada. I my musimy nosić to piętno.

Hrabia na c. n. Ach, ach. Kiedy w zeszłym roku spotkałem się w Szwajcaryji z p. Duhnowo, ministrem, człowiekiem oświeconym i libehalnym i przedstawiłem mu swoje poglądy w kwestji polskiej, powiedział mi: *Vous êtes hevolutionnaihe, cheh comte... comme tous les Polonais*. Czy to przyjemnie słyszeć?

Hrabia z monoklem. Hrabia masz rację, będzie źle z krajem.

Hrabia na c. n. Zginie bez hatunku!

PRZEZORNA.

— A pani mąż składał głos na wyborach?

— Chciał, ale mu zakazałam, bo i tak źle wygląda od tego ciągłego siedzenia po więzieniach.

ODWIECZNI PRZYJACIELE.

Djalog pograniczny.

OSOBY:

Iwan, żandarm rosyjski.

Gottlieb, żandarm pruski.

Gottlieb (*podając rękę Iwanowi*). *Mojen, Herr Ifan...* Jak fasze zdrowie?

Iwan (*ściskając podaną dłoń*). Nu, nic, druh mój. Sława Bogu, dobrze. A ty?

Gottlieb. Pruska szlowiek sawsze zdrowa. I byłoby wszystko *ganz gut*, gdyby nie *verpfluchte Polakei*.

Iwan. Polaki, — znaczy? To to jest. Nadojedli oni i nam, nie daj Bóg.

Gottlieb. Głupia *Volk!* My chcemy im dać pruska *Kultur* i niemiecka *Sprache*, a oni brać nie chcą.

Iwan. Jednakie oni wszędzie! My też im dawali ruską kulturę i ruski język, a oni za nic brać nie chcieli. A teraz nietylko, że brać nie chcą, no i nasmiewają się nad nami.

Gottlieb. *Ausrotten!* Wypędzić, wytepić, zniszczyć!... *Warum* wy nie możecie tego zrobić? Nasz Kaiser był was pochwalił za to.

Iwan. Robili my już co można, no nic nie wyszło. Wieszali, w turmy wsadzali, w Sybir od stu lat

zsyłamy, a taki Polaki są. Twardy naród! Myślisz, że już leży nieżywy, a spojrzysz: polska intryga wyłazi.

Gottlieb. *Ja, ja... Aber* my by z nich Niemców zrobili, żeby wy nam nie przeszkadzali.

Iwan. Brat kochany!... Co nam wam przeszkadzać! Zróbcie wy z nich Niemców, to nam nic, bo my Niemców kochamy. Mówią, że już dwieście lat my tak tańczym, jak Niemcy nam grają.

Gottlieb. *Aber* my wam zawsze pomagali. *31 Jahr* fasz Paskiewicz miał od nas Essen i Trinken i granicę naszą przechodził, kiedy chciał, a my nic nie mówili. *63 Jahr...* my fasz pomagali łapać Polaków jak fasz własne żandarmy.

Iwan. Nu, za to nasza władza wam i wdzięczna i wasi u nas wysokie czyny i ordery mają. Schwanebach, Szaufuss, Kaulbars, Herszelman, Kaufman, Bilderling, Mejendorf, Benkendorf—i nie zliczyć, ilu waszych u nas na wysokich postach siedzi. No oni prawdziwi ruscy ludzie są.

Gottlieb. *Was?* O głupia Ifan! Oni prawdziwi ruscy są, jak fasz papacha noszą, a jak pikelhaube włożą, *echte Preusse* będą.

Iwan. Niech oni i Prusaki będą, nam nic, bo Prusaki naród dobry, nie buntują. Nie to, co Polaczyszki.

Gottlieb. *Polakei* buntują, bo wy im za dużo pozwalacie. Nasz Kaiser się gniewa o to.

Iwan. Ty, brat, nie wszystko łyż, co wiesz. My im pozwalamy? A stan wojenny, to pozwolenie jest? W jeżowych rękawicach ich trzyma.

Gottlieb. *Ja, ja...* stan wojenny *ist sehr gut*, aber dla czego Polacy przy nim ciągle mówią o *Autonomie?*

Iwan. Awtonomja! Szisz im! Oni ją tak będą mieli, jak ja generalskie epolety!

Gottlieb. *Lieber Freund!* pozwól niech cię ucałuję (*całuje Iwana*). Ja zawsze mówił, że ruska chłop mądra jest. My, Niemcy, jego nauczyli.

Iwan. Myśleć o tej tam awtonomji mogą Polaki ile wlezie, a mówić, to i nie bardzo im pozwalamy.

Gottlieb. *Ja, ja... aber*, lepiej byłoby, żeby i myśleć o niej nie mogli. Bo, widzisz, jak fasz Polacy zaczną o niej myśleć, to i nasi także, i ciągnąć do fasznych będą, żeby razem buntować.

Iwan. Twoja prawda, brat. Tak my im i, myśleć nie damy. Ja w swoim ucześnie cenzurę zaprowadzę, żeby porządek w myślach polskich był.

Gottlieb. *Sehr gut, Herr Ifan.* Rób tak, a będzie ci dobrze: i dochód się powiększy i nasz Kaiser cię pochwali, a może order da.

Iwan. Nu, order, choć i zagraniczny, ważna rzecz jest, no ważniejsze teraz, żeby my po przyjaźni wypili.

Gottlieb. Fypić?... *Sehr gut!* Fypijem piwo!

Iwan. Do czorta piwo! wódka lepsza.

Gottlieb. Fypijem i wódka i piwo na *Bruderschaft. Die ewige russischpreussische Bruderschaft.* Chodź, Ifan, *mein Liebchen (nuci)*

Lieb' Vaterland, sei ruhig ganz,

Es lebt der preussisch-russische Tanz.

HA, HA, HA!

Jak to czasy się zmieniają szybko i okrutnie,
Patrzył dawniej się Rosjanin tu na nasze kłótnie;
Dziś, gdy oni są gnębieni przedwyborczą zmore,
My patrzymy się ze śmiechem, jak się za lby biorą.

ROK SAMORZĄDU DLA KRÓLESTWA.

Styczeń. Mróz ziemię ściska,
Chuchają w dłoń ludziska,
Rozbrzmiewa okrzyk wszędzie:
Samorząd u nas będzie.

Luty. Przy śnieżnym prądzie
Mówią o samorządzie.
Minister w Petersburku
Ma cały projekt w biurku!

Marzec. Już śnieg topnieje,
Samorząd nam się śmieje,
W powszedni dzień i święta
Komisja nim zajęta.

Kwiecień. Drzewo zakwita,
Minister wszystkich pyta,
Jakiego kto poglądu
Na projekt samorządu.

Maj. Miłość, czar, ponęta,
Słowiki i kurczęta.
Komisji (w drobnej dawce)
Potrzebni rzeczoznawce.

Czerwiec. Żab milion skrzeczy,
Są już świadomi rzeczy,

Z komisją mile gwarzą,
Samorząd dla nas smażą.

Lipiec. Niezgodni w ćwierci
Z komisją są eksperci,
Więc by uniknąć scysji,
Rozjemczej trza komisji.

Sierpień. Już są na trawce
Komisja, rzeczoznawce,
Samorząd więc, znużeni,
Schowali do kieszeni.

Wrzesień. Zakwitły wrzosa,
A samorządu losy,
Choć fala życia bystra,
Są w biurku u ministra.

Październik. Żółkną drzewa,
Komisja gada, ziewa,
Głos się odzywa w prasie,
Że kwestja nie „na czasie.”

Listopad. Wicher wyje,
Komisja ledwo żyje,
W jesienne dni szarugi
Układa projekt drugi.

Grudzień. Na drzewach szrony,
Samorząd odroczoney
Na rok, na dalsze lata,
Aż do skończenia świata.

W REDAKCJI WARSZAWSKIEJ.

DIALOG zakrawający na tragedję.

OSOBY:

Redaktor.

Sekretarz redakcji.

Redaktor. Bierzmy się do układania jutrzejszego numeru. Jaki pan ma materiały?

Sekretarz. Na wstęp myślę dać artykuł p. t. „Stanowisko ex-Koła polskiego w Dumie”. Dobrze napisany i pochlebny dla Koła.

Redaktor. Hm... tego nie można. Koło jest źle notowane, mogłaby więc nam grozić odpowiedzialność za publiczne wychwalanie działań występnych. Odłóż pan to na bok... do trzeciej Dumy.

Sekretarz. To możeby zamiast tego dać artykuł p. t. „Statystyka dziur w moście”.

Redaktor. I to nie będzie dobre. Widzi pan, to, co my nazywamy dziurą, może być uważane za szparę... pokaże się niedokładność w cyfrach i mogą nas machnąć za rozpowszechnianie kłamliwych wiadomości, wrogo usposabiających do rządu.

Sekretarz. Racja. W takim razie dajmy na wstęp odezwę do czytelników, wzywającą do płacenia prenumeraty.

Redaktor. Kochany panie, czy pan masz trzy miesiące wolnego czasu lub trzy tysiące rubli do stracenia?

Sekretarz. No, nie... ale dlaczego się redaktor pyta?

Redaktor. Odezwa... wzywianie... to jakby wspomnienie Wyborga... Jeżeli wzywamy do płacenia nam prenumeraty, to tem samem zachęcamy, ażeby nie płacono jej innym. § 129—podburzanie jednej grupy ludności przeciw drugiej. Nie, dajmy spokój z odezwą.

Sekretarz. Więc cóż ostatecznie mamy na wstęp?

Redaktor. Na wstęp... na wstęp?... czekaj pan... mam myśl! Na wstęp dajmy kalendarz na cały tydzień: Niech zecer wstawi po kilka interlinji między wiersze, żeby było szeroko i zajęło przynajmniej pół kolumny.

Sekretarz. Dobrze. Mam jeszcze dwa artykuły: pierwszy p. t. „Pp. Herszelman i Karaffa” zostają i drugi p. t. „Dżuma idzie!”

Redaktor. Oba niebezpieczne. Pierwszy mogą podciągnąć pod rozpowszechnianie wiadomości o klęsce społecznej, a drugi... Czy ja wiem? Równie dobrze może to być rozsiewanie wieści, wywołujących ogólną trwogę, jak niedozwolona krytyka rozporządzeń rządowych. Nie głupim, kochany panie, siedzieć w ciupie lub odbyć wycieczkę na koszt rządu i zostać obywatelom jakiego podbiegunowego miasteczka z pensją 8 kop. dziennie. Na drugi artykuł daj pan szczegółowe rozkłady jazdy na wszystkich naszych kolejach. Będzie to artykuł poważny i źródłowy, a przytem zajmie najmniej dwie kolumny. Potem mamy „Widowiska i koncerty”.

Sekretarz. A co zrobimy z feljetonem?

Redaktor. Do diabła ciężkiego, z tem będzie bieda! Tego, co mamy w zapasie, w dzisiejszych warunkach sądów prasowo-polowych dać nie można... (*zamyśla się*). Eureka! Mam! W feljetonie damy dyspozycję obiadów na cały tydzień. Podzielić na grupy: obiady zamożne, obiady średnie, niżej średnie, zupełnie cienkie i obiady bez obiadu. Szkoda, że Ćwierczakiewiczowa nie żyje... ona by to dobrze napisała. Ktoby ją zastąpił? Aha! pošlij pan po Ela, żeby wierszem napisał. Będzie apetyczny feljeton i nikomu nie zaszkodzi.

Sekretarz (*z zachwytem*). Numer prawie gotów! Jeszcze trochę wiadomości bieżących, dużo ogłoszeń i wypłyniemy. W rubryce „Z ostatniej chwili” możeby dać stan pogody.

Redaktor. No, to można. Pokaż go pan (*czyta*)... pochmurno, możliwa burza i grady. Maximum ciśnienia w Peterburgu... Odłóż pan to do lepszych czasów... niezupełnie bezpieczne. Zamiast tego dać w „Ostatniej chwili” wiadomości osobiste o przyjeźdźnych do Warszawy. A może który z naszych reporterów ześle jaki nieszkodliwy dramat rodzinny lub tragedję miłosną. To zawsze zajmuje i jest dobrze notowane u władzy.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

Poniedziałek.—Lokautnika, golca.

Wtorek.—Chlebopieka, nędzarza.

Sroda.—Bułkoszuka, mieszczanina.

Czwartek.—Drzewogryza, warszawiaka.

Piątek.—Bokozrywa, turka.

Sobota.—Rubłościąga, wyznawcy Mahometa.

Niedziela.—Głodomora, polaka.

CZTERY DNI ŻYCIA REDAKTORA.

Humoreska.

I.

Pan redaktor Kalasanty, w dół utkwivszy wzrok ponury, czytał właśnie artykuły, powrócone mu z cenzury. Czytał, smutniał coraz bardziej, w końcu bliskim był lamentu, wszędzie bowiem lśniły ślady czerwonego atramentu. Każde zdanie cna cenzura precedziła przez swe lejki; skreślił cenzor wyraz „grosze”, a napisał zaś: kopiejki. Tu artykuł „wstrzymać” kazał, tam wyrzucił szpalnę całą, zamiast „orzeł”—„ptak” napisał, zamiast „w Polsce”—„u nas” stało. Tu zaznaczył: separatyzm!—tam uwagi inne swoje, przy wyrazach „naród polski” stało groźne: *czto takoję?*

Pan redaktor Kalasanty wzrok żałośny wznosił ku górze: „Bądź tu polskim redaktorem! prowadź pismo przy cenzurze! Szarpia, drapią twoje myśli, a niewolno ci rzec słówka... czyliż nigdy się nie skończy czerwonego czas ołówka”. Siadł w fotelu pan redaktor, z rezygnacją głowę zwiesza, wtem wbiegł chłopak redakcyjny: „z Petersburga jest depesza!” Chwycił papier pan redaktor, czyta... kręci mu się głowa... sen czy jawa?... Konstytucja... wolność zebrań, związków, słowa!... Nie chce wierzyć własnym oczom, zadziwie-

nie go przenika (był to właśnie dzień on sławny trzydziestego października). Gdy ochłonął wreszcie trochę, wrzasnął, aż zadrgały mury: „Jeszcze Polska nie zginęła! jutro wyjdę bez cenzury!”

II.

Tydzień cały zbiegł szczęśliwie, bez najmniejszej nawet chmury, puszczał w świat pan Kalasanty swą „Jaskółkę” bez cenzury. Pofolgował swoim myślom i stylowi puścił wodze, rad niezmiernie, że nie staje żaden cenzor mu na drodze. Z komitetem spraw prasowych zerwał wszelki łącznik wspólny i nie ciągnął na śniadanie „radców” na róg Kapitulnej. Rosła liczba abonentów, chwalił przeto nowe czasy i z radością wciąż powtarzał: „niema-ż to jak wolność prasy!”

Raz, gdy siedział na fotelu, w poobiedniej drzemce błogiej, hałas słyszy... co u licha! brzęczą szable i ostrogi. Zanim zdążył zbadać sprawę, dla umysłu jego mglistą, wszedł komisarz cyrkulowy z liczną świtą i asystą. „Gdzie tu wasza jest gazeta?—groźnie krzyknął już od progu—zaraz zrobim konfiskację... jest numery, sława Bogu! Bieri—krzyknął do stójkowych, robiąc srogi mars na czole, a wy, pan, połóżcie podpis na tym oto protokole. To protokół konfiskacji, podpisujcie go bez drżenia, a tam z sądu mam ja dla was jeszcze i „akt obwinienia”. Tu stójkowym na „Jaskółki” pliki wskazał ruchem szabli,—i wzięli ją i ponieśli, jako grzeszną duszę djabli.

Pan redaktor sam zostawszy, schwycił kodeks, tkwiący w szafie, by zobaczyć jaka kara w oskarżenia paragrafie. 279 czyta... twarz się w marmur zmienia: od tygodni trzech aresztu do dwóch długich lat więzienia.

III.

Od wolności ogłoszenia upłynęło dni dwanaście, konstytucję stan wojenny schwycił w groźne swe przeпаście. Pan redaktor Kalasanty stracił humor, zbladł na twarzy, w nocy bowiem snił żandarmów, w dziennej drzemce komisarzy. Ciągłe myśli o policji napływały mu do głowy, aż się wyśnił nie komisarz, ale starszy rewirowy. Przyszedł, łącząc w swej osobie grzeczność razem i powagę i jął tonem urzędowym odczytywać mu „bumagę”:

„Według punktu czternastego, dziewiątego paragrafu, nakłada się na „Jaskółkę” sto pięćdziesiąt rubli sztrafu. A że kara ta nie zdoła od kierunku wstrzymać złego, więc się pismo to zawiesza na czas stanu wojennego”.

Pan redaktor na to *dictum* poczuł się zemdlenia bliski... djabli wzięli—szepnął z cicha—cały dochód mój i zyski!” Rewirowy, człek z uczuciem, ciepłym słowem go pociesza: „Jeśli tylko pan nie wisi, cóż że pismo się zawiesza. Nie tak wielka jeszcze bieda, że zamknęli wam „Jaskółkę”... kup pan marek za trzy ruble i otworzysz... nu... „Kukułkę”.

Uśmiechnął się pan redaktor, radość w oku jego błyska, wdzięczny wielce za poradę i doradcy dłonie ściska. W duchu szepce: „jak to jednak dziwne są zrządzenia Boże: od policji nawet człowiek czegoś się nauczyć może!”.

IV.

Upłynęło trochę czasu, bez szczególnych trosk, afery, i „Kukułki” za „Jaskółkę” wyszły w świat już dwa numery. Pan redaktor uśmiechnięty zgarniał cią-

gle grosz do kasy i codziennie w głębi duszy chwalił błogą wolność prasy.

Raz, gdy siedział, obmyślając wydawniczy planik nowy, z teką grubych akt pod pachą stanął przed nim rewirowy i zwrócił się ze słowami, w których dźwięczał ton łaskawy: „Ja tu przyszedł prosić pana, by wyjechał pan z Warszawy”.

„Niepodobna! — rzekł redaktor — nie czas na to i nie pora; jakże mogłaby „Kukułka” obejść się bez redaktora!”

„Nie bezpokój się pan o to, bowiem dobrą radę mamy: na zasadzie tej bumagi pismo wasze zamykamy. Jesteś wolny pan jak ptaszka, spakuj więc swych rzeczy skrzynię, na czas stanu wojennego chciej opuścić Prywiślinie. Dodam jeszcze: w ciągu trzech dni do podróży bądź pan gotów, bo inaczej cię przytuli Ratusz, Pawiak lub Mokotów”.

„Ach! — wyjąkał pan redaktor — co za czasy! co za czasy!... Gdzie w tem wszystkim konstytucja! gdzież tu wreszcie wolność prasy?...”

Na to zdanie to usłyszał, w którem doza prawdy spora:

„U nas, panie, wolność prasy jest niewolą redaktora”.

OBRASTA W PIERZE.

- Jakże się powodzi pańskiemu bratu?
 - O, ten obrasta w pierze.
 - Gdzie?
 - W Cytadeli.
-

KŁOPOTY PRZEDWYBORCZE.

Komedja „istinno-ruska.”

OSOBY:

Prezes prawdziwych Rosjan

Prawdziwy rosjanin

Ultra-prawdziwy rosjanin

Extra-prawdziwy rosjanin

Non-plus-ultra prawdziwy rosjanin.

Prezes. Bracia istinno-ruscy! Dożyli my wreszcie szczęścia, że możemy ruskiego w deputaty od Warszawy wybrać.

Ultra-prawdziwy (*spluwa głośno*). Tfu!...

Prezes. Czego plujesz, brat? Taki ty patryjota?

Ultra-prawdziwy. Na siebie ja pluję, bo wczoraj patryjotyzmu ruskiego zapomniał i zamiast oczyszczonej polską wódkę pił. Dotąd mnie jeszcze w gardle piecze.

Extra-prawdziwy. Nietylko polska wódka piecze, ale wszystko polskie nam dosyć dopiekło.

Prawdziwy rosjanin. Rozrachujem my się tymi polaczkami w Dumie.

Non-plus-ultra-prawdziwy. Awtonomię im pokażem!

Prezes. Nu, ich w błoto!... A czytali wy co

o ichniej awtonomji nasza prawdziwie ruska „Zanoza” napisała.

Wszyscy. Nie, nie czytali.

Prezes. Sławnie napisane. Ot, posłuchajcie: (*wy-
muje z kieszeni Nr. 1 wydawanego obecnie w Warszawie
pisma humorystycznego „Zanoza” i czyta:*)

Autonomji dziś polacy
Dobijają się od nas,
Lecz gdy zjawią się kozacy,
Patrzysz: zapał polski zgasł.
Kiedy minie strach o skórę
I nahajkę schowa wróg,
Zaraz polak „wąsy w górę”,
Znów odważnie robi huk.

Węgrzyna smakuje
I tak podśpiewuje:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Jeszcze wódka nie skwaśniała,
Póki my pijemy!

Wszyscy. Brawo! brawo!

Prawdziwy rosjanin. Zadał im pieprzu!

Ultra-prawdziwy. Dokazali my, że i u nas humor jest sławny.

Extra-prawdziwy. Dokażem, że i deputata wybierzem. Agapiejew odmawia... jemu na konto konstytucji coś się śni.

Prawdziwy rosjanin. Żal! A profesor Kaźmin?

Extra-prawdziwy. Gdzie jemu teraz w deputaty iść, kiedy dochodne miejsce w ministerstwie finansów dostaje.

Ultra-prawdziwy. Żal, Bazinera by wziąć...

Prezes. Nu, ten już i do pilnowania gipsowych figur niezdolny. W głowie mu się ze wszystkim pomieszało i musiał, po słabości zdrowia, do dymisji iść.

Non-plus-ultra prawdziwy. Czy z mundurem i pensją?

Prezes. Koniecznie. Jemu to się po czynu należy. On że rzeczywisty...

Ultra-prawdziwy. Żal... Rzeczywisty radca stanu i w głowie pomieszało się. Ot, takie czasy przvzszły.

Extra-prawdziwy. Możeby profesora Dawydowa wybrać?

Prezes. No... jemu się też niezadługo pomiesza.

Prawdziwy rosjanin (z gniewem). Tak cóż my żadnego czorta nie znajdziem?

Ultra-prawdziwy. A redaktor *Warszawskiego Wiestnika*?

Prawdziwy rosjanin. Głupi ty, brat! Jego komorniki z Warszawy nie puszczą.

Non-plus-ultra prawdziwy. Żal! Sławny mały, a codzień o nim w *Dniwniku* ogłaszają, że u niego licytacja.

Ultra-prawdziwy. Nu, czasy nastały, że i patrjotem na kresach nie warto być, kiedy jakiś tam komornik śmie licytacje ogłaszać.

Non-plus-ultra prawdziwy. Żydom zaprzędani oni, to i robią, co żydy każą.

Prezes. Nu, nic, panowie, nie smućcie się... deputat się znajdzie, a główne to, czy znajdzie się tyłu wyborszczyków, żeby naszego deputata wybrali.

Ultra-prawdziwy. Nas, ruskich, dosyć w Warszawie.

Prezes. Ruskich to dosyć, no prawdziwych ruskich

mało. Jedni liberałów udają, drudzy w oktobrysty, poszli i nas nie bardzo chcą znać.

Extra-prawdziwy. U mnie idea jest: karaimom, grekom, i tatarom przykazać, żeby na prawdziwych ruskich głosowali.

Non-plus-ultra-prawdziwy. Karaimy pójda z nami, grekom, żeby poszli, powiemy, że rząd u nich za to wszystkie pantofle i gąbki wykupi, no tatarzy do czorta. Chitre oni i liberały... w drugiej Dumie z polakami się wodzili.

Prezes. Bracia istinnorusy! Mnie też idea przyszła. Niech władza przykaże wszystkim ruskim, co w Prywiśliniu służą, żeby oni na nas głosowali. Liberał li, oktobryst-li wszystko równo... na prawdziwych ruskich głosuj.

Ultra-prawdziwy. Sławnie pomyslane! Tak i piszmy zaraz do Pitra.

Prezes. A kto nie usłucha, won ze służby!

Extra-prawdziwy. Ruskich praw jego pozbawić.

Non-plus-ultra-prawdziwy. I w tatarzy albo w polaki przemianować.

Wszysty. Na wstyd jemu i karę! Ura!...

DWIE DROGI.

— Cóżeś taki smutny i przygnębiony?

— Bo się biję z myślami. Tak mi strasznie źle na świecie, że nie wiem, czy się zastrzelić, czy wstąpić na redaktora do jakiego piśma humorystycznego?

W REDAKCJI.

— Panie redaktorze! Świerzba w areszcie policyjnym! Niech pan pozwoli, napiszę o tem piorunujący artykuł.

— Artykuł chce pan o tem napisać? Pana chyba świerzbi, co?

W POGONI ZA POSŁEM.

Raz *Warszawskij* nasz *Dniownik*,
Wyrzuciwszy swój śpiewnik
Kłamstwa, oszczerstw, potwarzy i złości,
Na samochód wsiadł wreszcie
I pojechał po mieście
Szukać posła od „ruskiej mniejszości.”

Po Warszawie pomyka,
Wszędzie czujny nos wtyka,
Krytykuje programy surowo,
I wciąż zbliżka, zdaleka
Poszukuje człowieka,
Który byłby bez partji, lecz z głową.

Ból po sercu mu orze,
Bo nic znaleźć nie może,
Choć pół miasta już prawie obleciał;
Ciągłe wpada mu w szpony
Albo kadet „spolszczony”
Albo Niemiec, co całkiem „skadeciał”.

W oktobrystów gromadzie
Był na długiej naradzie,
Tęsknym wzrokiem dokoła spozierał:
Seliwerstrow, choć gada,

Niezbyt w smak mu przypada,
A Filewicz zbyt wielki liberal.

Smutny dalej znów jedzie
I samochód swój wiezie
Na prawdziwie rosyjskie obrady;
W zamyśleniu wąs mota:
„Tam się znajdzie patryjota,
Który wspólne ma ze mną zasady.”

Szuka, wpadłszy w ten eden,
Gdzie tu ruscy? Jest jeden,
Aleksiejew, lecz reszta... o biada!
Lewis rwie się do słowa,
Ale rzecz to nie nowa,
Że żydowskiej krwi więcej posiada.

Tam znów Wurcel przemawia
I Prusaków wystawia,
Radząc w Polsce ich śladem iść cennym.
Gdybyż zwał się inaczej!
(Wurcel — „korzeń” wszak znaczy)
Rosjaninem mógł by być korzennym.

Siada *Dniewnik* w samochód,
Choć strudzony, mknie w pochód,
Patriotyczna myśl bowiem go niosła,
I tem zdaniem się cieszy:
„W bezpartyjnej ja rzeszy
Znajdę kogoś napewno na posła”.

Po Warszawie pomyka,
Bezpartyjnych spotyka,
Sympatycznym uśmiechem ich wita.

Po grzeczności wymianie,
Nim dysputa nastanie,
— „Czy masz głowę?” — każdego się pyta.

Długo ciągnie się praca,
Wreszcie *Dniewnik* powraca
Do redakcji, strudzony, niezdrowy,
I myśl ta się w nim budzi,
Że wśród ruskich tu ludzi
Dużo różnych jest rzeczy, prócz głowy.

KOMISJA POLECZA POŻYCZYĆ TEATROM WARSZAWSKIM.

z funduszów	Kuratorjum trzeźwości	R. 250,000
.. ..	Lombardu miejskiego	.. 100,000
.. ..	Kasy emerytalnej	.. 50,000
.. ..	Towarz. Dobroczynności	10,000
.. ..	Pogotowia	.. 1 000
.. ..	Schronienia dla paralityków	700
.. ..	Wincentego à Paulo	.. 600
.. ..	Przyt. Noclegowych	.. 540
.. ..	Dla wstydz. się żebrać	.. 220
.. ..	Przytułku dla rodzących	.. 215
.. ..	Kolonji letnich	.. 65
..	masy upadłości po Rawiczu	.. 32
..	Kasy gubernjalnej dla dopełnienia	.. 8
	razem	<u>413,380</u>

co powinno utrzymać teatry warszawskie przez czas dłuższy.

TAKŻE PYTANIE.

- Pan skąd jesteś?
- Z Chełmszczyzny.
- A czy pan jest obcięty?

POSEŁ OD MNIEJSZOŚCI.

Wesoła komedyjka.

OSOBY:

P. Aleksiejew, prezes Związku R. L.	
P. Kosagowskij	} Członkowie Związku
P. Wurcel	
P. Lewis	
Wańka	
Waśka	} Zaproszeni goście, prawyborcy
Saszka	
Oponent bezpartyjny.	

P. Aleksiejew. Wiadomo wam pewnie, panowie, po co my się tu zeszli.

Wańka. Nie możemy wiedzieć.

Waśka. Przykazano przychodzić, tak i przyszli.

Saszka (*do Wańki*). Uczciwy człowiek... mówi nam: panowie.

P. Kosagowskij. Z pozwolenia prezesa, ja wam objaśnię. Przyszli my tu po to, żeby sobie posła od naszej mniejszości, rosyjskiej, wybrać.

Wańka (*zdumiony*). Ot, sztuka!

Waśka (*apatycznie*). Naplewat! Czy nam z tego tam wybierania dochód będzie?

Saszka (*do Waśki*). A ty, brat, kiedy naczałstwo wybierać każe, tak wybieraj.

P. Kosagowskij. Robota to trudna, bo na naszej sławnej drodze przeszkody są. Oktobrysty chcieliby swego w posłach mieć i kadety swego. No my im nie damy!

Wańka (*pokazuje pięść*). Nie damy!

Waśka. Nu, ich do czorta, jednych i drugich!

P. Kosagowskij. Ot, tak. Wy patryjoty ruskie. Nam oktobrystów, ni kadetów nie trzeba; nam trzeba najlepszego człowieka z prawdziwych ruskich wybrać. A gdzie on?

Wańka. Nie możemy wiedzieć.

Waśka. U nas, na żelaznej drodze, majster jest... tak pewnie on najlepszy. Dusza-człowiek, do ostatniej kopiejki wszystko z tobą przepije.

P. Kosagowskij. Dobry on, ten wasz majster, no są jeszcze lepsze. Ot, nasz prezes Aleksiejew najlepszy, bo zasługi wielkie dla naszego Związku położył. Niech on sam powie.

Prezes Aleksiejew. Wy słyszeli, jak w Dumie o. Ewłogij gadał albo profesor Sozonowicz mowę trzymał? Mądrze oni mówili, a wiecie, dla czego? Bo ja im te mowy pisał. I Ewłogju i Sozonowiczu i Bobryńskiemu grafu i drugim. Ja ich nabijał jak gramofony, bo ja orator jestem sławny.

Saszka (*do p. Kosagowskiego*). Pora nam już krzyczeć: ura?

P. Kosagowskij. Można, no i potem jeszcze trzeba będzie.

Saszka *daje znak i goście zaproszeni krzyczą: „ura!”*

P. Aleksiejew. Dziękuję wam, bracia, za wasze

pochwały. Mnie one przyjemne, bo ja dla narodu po nocach pracuję, tak jak u mnie w dzień służbowe zajęcia są. I nieraz mnie przychodzi się o 4-ej rano z pracy powracać...

Oponent bezpartyjny. Pozwolę sobie zaprotestować przeciwko temu, co tutaj mówiono...

P. Kosagowskij daje znak Saszce, Saszka daje kula-ka Wańce i Waśce, poczem wszyscy krzyczą: „ura!”

P. Kosagowskij (podbiega do Saszki). Co wy? co wy? „Ura” krzyczycie? „Won” krzyczcie!

Wańka i Waśka. Won!

Saszka (ryczy). Wwww... won!

P. Aleksiejew (do oponenta). A wy jeżeli protestować zamysłili, tak z katedry zejździe, bo was nikt słuchać nie chce.

Oponent. Pozwólcie mi, panowie...

Wańka, Waśka i Saszka. Wwon!

P. Lewis (wskakuje na katedrę). Nam tu żadne kadety nie potrzeba. Mi ruskie i nasz deputat ruski musi bicz. On musi w trzeciego Dumie nasze ruskie interesy bronicz, coby Polaki wiedzieli, że oni tu nie w swoim domku są.

Saszka daje znak Wańce i Waśce i wszyscy krzyczą: „Won!”

P. Kosagowskij (do Saszki). Co wy? co wy? „Ura” teraz krzyczcie!

Saszka. I temu żydku „ura”? Ze wszystkim teraz nie wiemy, kiedy „won”, a kiedy „ura” krzyczeć.

Krzyczą: „ura!”

P. Wurcel. Ja chcę wam jeszcze, *meine Herren*, na konto Polaków powiedzieć, że oni chitre są i wszystko w Przywiślańskim kraju opolaczyli. Nawet *War-*

szawskij Dniownik teraz opolaczył się i nas, prawdziwych ruskich, ośmiewa. My jemu surową naganę zrobimy i prezesa Aleksiejewa w deputaty wybierzmy.

Prezes Aleksiejew. Dziękuję wam, bracia, że wy mnie w deputaty wybrali. Kiedy ja do Petersburga pojedę, to o was wszystkich, patriotach, pamiętać będę.

Saszka patrzy pytająco na p. Kosagowskiego, ten kiwa głową. Saszka i koledzy jego krzyczą: „ura!”

P. Aleksiejew. A żeby i wy o mnie pamiętali, to ja, dziś w nocy pracując, piosenkę wam ułożył. Posłuchajcie wy jej... sławna piosenka!

(Śpiewa). Kogo wybrać w deputaty,
Żeby w Dumie radzić mógł?
Oktobrysty nam nie braty,
A kadety główny wróg.
Oj, did Łado!... Oj, did Łado!
Aleksiejewa nam nado!

Sasza, Wańka i Waśka śpiewają:
Oj, did Łado! Oj, did Łado!
Aleksiejewa nam nado!

INNĄ DROGĄ.

— Coby to było, gdyby z mniejszości rosyjskiej w Warszawie wyszedł naprzykład na posła socjalista?

— Nic by nie było, tylko to, że nie pojechałby on do Dumy przez Białystok, Wilno, Psków, ale przez Brześć, Moskwę, Czelabińsk, Omsk, Tomsk i Irkuck.

ON SIĘ PRYZWYCZAŁ.

— Chciałbyś, żeby zniesiono stan wojenny?

— Za nic na świecie. Przyzwyczailem się do niego od lat wielu i jest mi z nim zupełnie dobrze.

KOMEDJA TEATRALNA.

OSOBY:

Przewodniczący komisji.

Członek I.

Członek II.

Delegat z Warszawy.

(Rzecz dzieje się w Petersburgu).

Przewodniczący. Panowie! Co mam robić z tym fantem, co go trzymam w ręku?

Członek I. Jaki to?

Przewodniczący. Rządowy teatr warszawski.

Członek II. Co nam do teatru!

Przewodniczący. Jaki? Przecież komisja nasza została utworzona w celu zadecydowania o losach teatru warszawskiego.

Członek II. Tak?... Czort bierz!... nie wiedziałem. Nu, tak radźmy o teatrze.

Przewodniczący. Dyrekcja teatrów przez kilka lat zrobiła 600 tysięcy długów.

Członek I. Sławna sztuka! Kto oni te dyrektorzy? Intendanci z Mandżurji? a?...

Przewodniczący. Nie, ale także zdolni ludzie. Wracając do teatru warszawskiego, Polaki chcą, żeby teatr był oddany miastu.

Członek I. Przy czym tu polaki i kto im tu pozwala chcieć?

Przewodniczący. Wam pewnie niewiadomo, panowie, że w teatrze warszawskim komedje odgrywają się na polskim języku.

Członek II. Czy może być!?

Członek I. Kiedy tak, to druga rzecz. Oddać teatr miastu, czy czortu i Bóg z nim.

Delegat z Warszawy. Za przeproszeniem Wielmożnych panów... ja potrzebuję słowo powiedzieć.

Członek I (*do Członka II*). To kto taki?... Żydyszka jakiś...

Członek II. Teatralny faktor z Warszawy: Krywonosow, czy szejew, czy jaki tam czort. On u nas ekspert.

Przewodniczący (*do delegata*). Mówcie.

Delegat z Warszawy. Ja potrzebuję powiedzieć, że to wcale nie może być, żeby teatr warszawski miał być oddany miastu. To żaden interes jest. On musi być w naszych ruskich rękach. Ja jestem ruski człowiek i nie mogę się zgodzić, żeby polaki mieli rządzić teatrem.

Członek I. Wasza prawda.

Delegat z Warszawy (*zapalając się*). I tak już teatr opolaczony jest. Panowie może nie wiecie, że teraz dyrektorem repertuaru został niejaki Zalewski.

Przewodniczący. To nam wszystko równo.

Delegat z Warszawy. Wszystko równo? To wcale nie wszystko równo! Po pierwszego: ten Zalewski jest katolik i polskiego pochodzenia, a po drugiego: on, Zalewski jeszcze i buntownik, bo dwa lata temu on

krzyczał, żeby aktry zabastówkę zrobili, aż póki teatr na miasto nie pójdzie.

Członek I. Ot, w czym rzecz.

Delegat z Warszawy. Ruski człowiek dyrektorem repertuaru potrzebuje być. Ja się mogę zgodzić w dyrektory pójść. Ja się znam na teatru, bo ja dom teatralny postawiłem, taki wielki dom... *auf meine...* chciałem powiedzieć: *jej Bogu...* Ja mogę nawet całym prezesem być!

Przewodniczący. Tak wasze zdanie jakie?

Delegat z Warszawy. Moje zdanie? Jakie jest moje zdanie? Moje zdanie jest: żadne umiastowienie, żadne dzierzawe nie potrzeba. Wszystko jest w porządku, to niech tak i dalej będzie.

Przewodniczący. Nu, jeżeli po waszemu w porządku, to kto długi zapłaci?

Delegat z Warszawy. Jakie długi? co to za długi? To te głupie 600 tysięcy pan prezes nazywa długi? Niech nawet i tak będzie... niech to się nazywa długi, to czemu nie ma zapłacić miasto?

Przewodniczący. Kiedy magistrat się nie zgadza.

Delegat z Warszawy. Co to jest nie zgadza? My jemu potrzebujemy kazać. On niedawno wziął 33 miliony rubli i jemu jeszcze się trochę z tego zostało.

Przewodniczący. Tak, tak... no powiadają, że gmachy teatralne należą do miasta.

Delegat z Warszawy (*kręci głową*). Powiadają!... czego oni nie powiadają. Ale ja pana prezesa co powiem...

Przewodniczący. Słucham.

Delegat z Warszawy. Prywislinje nasze?

Przewodniczący. Nasze.

Delegat z Warszawy Warszawa nasza?
Przewodniczący. Nu, nasza.

Delegat z Warszawy. Jeżeli Warszawa nasza, to i teatry warszawskie nasze. Tak, znaczy, my możemy robić z nimi, co się nam podoba (*tryumfująco*). Ot, co!

Członek I (*do Przewodniczącego*). Jego prawda.

Delegat z Warszawy (*ciszej do Przewodniczącego*). Panie prezes, niech pan tak zrobi, jak ja każę, to ja pana poznam z jedną aktorką warszawską (*cmokcze...*) fejn kobietka!... Ona jest bardzo ładna!... a jakie ona ma oczy! (*do Członka I*). I dla pana ja mam jedną... *Cymes!*

Przewodniczący (*do Członka I*). Jak wy myślicie?

Członek I. Na konto niego? (*wskazuje na Delegata*). Nu, zdaje się niezły człowiek, choć z żydów.

Przewodniczący (*do Członka II*). A wy? (*Członek II, siedząc głęboko w fotelu, nie odzywa się*) Spirydon Awakumowicz! A, Spirydon Awakumowicz!

(*Członek II wstaje gwałtownie z fotelu*).

Członek II (*w półśnie*). Co ja wam winien!... bierzcie sobie teatr, tylko życie darujcie!...

Przewodniczący. Co wy? co wy?

Członek II. Gdzie ja?... (*rozgląda się*). Ach! (*do Przewodniczącego*). Zdrzemnął się maleńko i dziwny sen się przyśnił.

Przewodniczący. Chrapnęli wy zdrowo.

Członek II. Przyśniło się, że Herszelman i Karaffa mnie napadli, żeby ja im teatr oddałem. Czort bierz!... porządnych ludzi we śnie w anarchisty przemianował... Widać wczoraj majonez z homara zaszkoził.

Delegat z Warszawy. (*do Członka II*). Trzeba go

będzie dziś popić szampańskim (*do Przewodniczącego*).
To więc co będzie?

Przewodniczący. Rezolucja zostaje odłożona do czasu zbadania sprawy na gruncie (*do Delegata*). A wy mnie z tą aktorką w pole nie wywiedźcie, a to ja bym wam... (*żartobliwie, groząc mu palcem*). Figlarz z was, miły druh.

ŻYCZENIA WIELKANOCNE.

Gdy Warszawiaku, święcone
Będiesz zajadał jak pan,
Ślę to życzenie w twą stronę,
By zginał...

Kiedy już skończysz jedzenie
I ujmiesz w dłonie swe dzban,
Poślę ci drugie życzenie,
By przepadł...

Gdy będziesz wesół jak dziecko,
Świątecznych zabaw snuł plan,
Życzenie poślę ci trzecie,
By znieśli...

Gdy z niewiastami w humorze
We flirt się puścisz lub tan,
Czwarte życzenie ci złożę,
By minał...

Świątecznych życzeń mych karta
Cała jest taką bez zmian:
Niech idzie wreszcie do czarta
Męczący...

wojenny stan.

DO PRZYJACIÓŁ-KADETÓW.

Wy czy nas wspominacie? Ja ilekroć marzę
O zjeździe ziemców w Moskwie, tym przed dwoma laty,
I o was myślę, którzy w mów podniosłych gwarze
Sypaliście nam wówczas swych obietnic kwiaty.
Gdzieżes światna wymowo, swado Rodiczewa,
Która hukiem piorunów grzmiała w pierwszej Dunie?
Dziś ten, co cię posiadał, w milczeniu poziewa,
Znając mores dla władzy, trzech zliczyć nie umie.
Gdzieście o Nabokowy i Petruniewiczze,
Coście dzielnie trzymali w rękach partji wodze
Przygasł wasz dawny zapał i zbladło oblicze,
Gdy już tek nie widzicie w dali na swej drodze.
Inni też dali pokój z wolnościowym prądem,
Zapomnieli niedawną dla Polaków družbę
I myślą, czy nie lepiej pogodzić się z rządem
I do departamentu wstąpić gdzieś na służbę.
Jeden z was tylko jeszcze Milukow się kręci
I z miną chorążego bez sztandaru kroczy,
Ale że się narażać wcale nie ma chęci,
Spogląda wciąż pokornie w Stołypina oczy.
Słowo wasze wśród ludu niewiele dziś znaczy,
Po minionej świetności wzdychacie boleśnie,
Lecz darujcie! Nie może być z temi inaczej,
Kto chce „naszym” i „waszym” służyć jednocześnie.

CO NAM ZOSTAJE.

Nie można twierdzić, by przez długie lata
Los nam podarki miłe sypał w dani;
Co raz to jakaś spotyka nas strata,
Jesteśmy słabi, zewsząd uciskani.
Cały rój gadów ciągle na nas syczy,
O nienawiści świadcząc najwymowniej,
Nikt się naprawdę dziś z nami nie liczy,
Kto chce zamyka do turm i prochowni.

Cóż mamy robić w strapieniach i mece,
Gdy wicher gnie nas, niby trzinę chwiejną?
Cóż mamy robić? Czy założyć ręce
I w dal z rozpaczą patrzeć beznadziejną?
Vae victis! groźne zewsząd echo łowi,
Wrogowie ścielą Madejowe łoże,
Czyliż więc mamy poddać się losowi
I jako naród, przestać istnieć może?

Jeszcze w nas chyba nie zgasł mocy zaród,
Krzepmy się przeto, choć mrok wkoło ciemny,
Rzekł Staszic: „upaść może słaby naród,
Lecz zgiąć może jedynie nikczemny!”
Do zgody dłonie niech poda brat bratu,
Wspólnie do twardej zabierzmy się pracy,

Aby pokazać wrogiemu nam światu,
Że nikczemnymi nie chcą być Polacy.

Lecz nie do takiej pracy, co chce chwały
Chwilowej, rada upstrzyć się w wawrzyny,
Ale do pracy ciągłej i wytrwałej,
Która przyszłości stwarza podwaliny.
Órmy odłogiem leżące ugory
I znośmy ciosy, jak przystało mężom,
Ufni, że kiedyś doczekamy pory,
Gdy sprawiedliwość i prawda zwyciężą.

Obcy apatji lub rozpaczy szałom,
Idźmy myśl wielką w małych ludziach szczepić,
Nie dajmy rwać serc słomianym zapałom,
Ni nienawiściom wzroku nam zaślepić.
Los kiedyś przecież zajmie się i nami,
Lecz jeśli chcemy zniszczyć posiew złości
Nie zapomnijmy względem drugich sami
Zasad wolności i sprawiedliwości.

W ROKU 2007.

W archiwum ministerjum spraw wewnętrznych w Petersburgu.—Ot i zachciało im się znowu tę autonomję wyciągać. Gdzie ona przeklęta zapodziała się? Sto lat nikt jej nie zapotrzebował, teraz, choć głowę łam, a musi być.

U EX-REDAKTORA.

— Długo pańskie pismo wychodziło?

— Tylko pół godziny, bo jak do mojej redakcji zaczęła *wchodzić* policja i zabierać numery, to moje pismo natychmiast przestało *wychodzić*.

K R O P K I.

Lat dwa żyjemy w ciągłym wirze,
 Wśród scen, jak gdyby z szopki,
 Chciałbym opisać to w satyrze,
 Lecz wolę zrobić

Z rent różnych mniejsze dziś dochody,
 Obcięte są zarobki,
 Że materialne mamy szkody,
 Kto winien tutaj?

Z wojennym stanem będę mamy,
 A z bandytami hopki,
 Coraz ciasniejsze życia ramy,
 Lecz cóż? Postawmy

O rewolucji chciałbym gadać,
 Zliczyć jej żniwa snopki,
 Lecz między drzwi swój palec wkładać,
 Nie warto! wolę

Chciałbym też rzec o przyszłej Dumie,
 Postawić horoskopki,
 Lecz nuż kto myśl mą źle zrozumie
 I będzie kram — więc

W krytykę przeto się nie wdaję,
 Nie wglądam w cudze żłobki,

Za satyryczne bowiem baję
 Bywają czasem

Na północ nie radbym pojechać,
 Bo braknie mi salopki,
 Satyry muszę więc zaniechać
 I w wierszach stawiać

Gdy trzeba myśl, miast wypowiedzieć,
 W nawiasy brać *vel* „skobki,”
 Wolę jak mysz pod miotłą siedzieć,
 Miast liter stawiać

Więc, czytelniku, za to przecie
 Nie rób mi żadnej szopki,
 Bo dzisiaj w piśmie i w gazecie
 Najbezpieczniejsze

GODNE ZASTANOWIENIA.

- Z Królestwa Polskiego mają być wyłączone niektóre powiaty.
- Czy i z kilkoma naczelnikami powiatów?
- Naturalnie.
- Wiesz, że nad tym interesem wartoby się namyśleć.

MOŻE TO I NIE BAJKA.

Ujrzał ktoś obdartusa i kiedy go bada:
 — Kto jesteś, nędzny czleku, skąd rodem — odpowiedz?
 Tamtemu z głodu kurczyć jąła się twarz błada,
 Jęknął — Kto? Czy nie widzisz? Polski przemysłowiec.

P R O G R A M

wykładów historii polskiej dla szkół średnich.

OKRES I.

Mieczysław I. Jego chrzest. Wskutek zdradzieckich podszeptów jezuitów, Mieczysław I chrzci swój naród według obrządku rzymskiego.

Bolesław Mieczysławowicz, niesłusznie zwany przez szowinistów polskich **Wielkim** albo **Chrobrym**. Początki intrygi polskiej na rdzennie rosyjskiej ziemi, w Kijowie. Zakłócenie spokoju i przekroczenie przepisów policyjnych pod „Złotą Bramą.”

Mieczysław Bolesławowicz. Żona jego Ryksa, niemieckiego pochodzenia. Ich pożycie małżeńskie.

Kazimierz I Odnowiciel. Remont państwa za jego czasów.

Bolesław II. Zwany Śmiałym, dla tego, że śmiał porwać się na Ruś, za co w końcu skazany został na zesłanie do Węgier.

Bolesław Krzywousty. Podzielił państwo między synów, czego mu Polacy darować nie mogą, uważając go za przeciwnika idei „Polski od morza do morza.”

Uwaga. Następnym panującym można nie wyliczać, nauczyciel tylko winien zaznaczyć w tym okresie pełne poświę-

cenia postępowanie Rosjan, którzy przyjęli na siebie jarzmo mongolskie, dla uchronienia od niego Polaków.

Władysław Łokietek. Wyjaśnić różnicę pojęć „łokiec” i „arszyn.” Bitwa pod Płowcami, zakończona zwycięstwem Władysława, dzięki życzliwej neutralności Rosji.

Kazimierz Wielki. Jego filosemityzm jako skutek przekupstwa żydowskiego. Rola Esterki.

Uwaga. Dla uniknięcia nieporozumień, wyjaśnić różnicę między Esterką, a panią Ester z ulicy Karawannej. O Lidwalu i kontraktach zbożowych przytem nie wspominać.

OKRES II.

Władysław Jagiełło. Połączenie Litwy z Polską, jako wynik intryg Jadwigi. Początek ucisku narodowości rosyjskiej na Litwie i w Chełmszczyźnie. Bitwa pod Grünwaldem, pomyslna dla Polaków, dzięki pomocy ruskich.

Władysław Warneńczyk. Jego chęć podbicia słowian bałkańskich i śmierć pod Warną.

Uwaga. Tu można opowiedzieć o zdobyciu Plewny i niezapomnianym J. W. Hurce. Zaznaczyć też jego pożyteczną działalność administracyjną w kraju Przywiślańskim.

Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht, Aleksander i Zygmunt Jagiellończyk, sprzyjają jezuitom i szlachcie, której każą w pień wycinać nieposłusznych chłopów. Wobec braku komisarzy włościańskich, szlachta dopuszcza się awantur (*bójstwa*) we wsiach.

Zygmunt August, ostatni z Jagiellonów, ostatecznie nakłada na Litwę jarzmo polskie, zwane Unją.

Stefan Batory. Jego hołd, złożony Iwanowi Groź-

nemu w Pskowie i Wielkich Łukach. Intryga polska w gubernjach nadbałtyckich.

OKRES III.

Zygmunt III, z rodziny Wazów, buntuje się przeciw Rosji, która jednak przebacza mu i pozwala na wystawienie jego pomnika na placu Zamkowym w Warszawie. Odłączenie się od prawosławia unitów i przyjęcie na świat pierwszego przodka prof. Filewicza. Minin i Pożarski.

Władysław IV, może nie być wspominany, z powodu jego nieprawomyślnej podróży do Rosji, za czasów następstwa tronu.

Jan Kazimierz. Opisanie szczegółowe wojen kozackich i zwycięstw nad Polakami. Polska zostaje ukarana za swoją nieprzychylność dla Rosji.

Jan III Sobieski. Zwycięża Turków pod Wiedniem, przy pomocy kozaków dońskich, których sława datuje od tego czasu.

OKRES IV.

Dynastia saska: August II i August III, wywierają silny wpływ na kulturę polską. Od tego czasu pochodzą: Saski ogród, Saska Kępa i saskie kluski. Zrezygnacja o tych dwóch królach niema wiele do mówienia, natomiast wspomnieć trzeba w tym okresie o działalności Piotra Wielkiego i jego chęciach wprowadzenia Polski na drogę pożytecznych reform państwowych.

Stanisław August Poniatowski. Jego rozum praktyczny i pokojowe usposobienie. Lojalne poddanie się władzy, pomimo przeszkód ze strony różnych buntowników. Bezinteresowne ofiarowanie przez Rosję

zaprzyjaźnionym mocarstwom Galicji i Poznańskiego. Poskromienie zamieszek ludowych na Pradze pod Warszawą. Zawieszenie w czynnościach Poniatowskiego. Skasowanie państwa Polskiego. Przemianowanie Polaków na inorodców.

CO SIĘ TAM SMUCIĆ.

Co się tam smucić, miły mój,
Nie taki w Polsce huczał bój.
Nie taki już huragan wrzał,
A Zygmunt stoi, tak jak stał.

Czego rozpaczać, co ci z lez?
Nieraz zdawało się, że kres.
Że nas zalewa losu toń,
A pod Sobieskim sady koń.

Czemu rwiesz włosy, po coś zbladł?
Kopernik siedzi, tak jak siadł.
Bądź więc spokojny także ty,
Zaświta słońce, przejdą lzy.

Kto tego dożyć pragnie z nas,
Niech mocny będzie, jako głąz,
Twardy, jako hartowna stal,
A zepchnie wszystkie burze w dal.

Bo tylko silny, tylko on,
Ze smutków zbierze piękny plon,
Pamiętaj więc na ten mój głos:
Odważnym służy szczęśny los.

S. S. S. S. S. S. S. S. S.

W tych dniach zalegalizowano w Warszawie nową organizację o dziesięciu literach „S.” Cała jej nazwa brzmi: Stowarzyszenie Siemniukroć Stutysięcznego Steroryzowanego Stołecznego Spoleczeństwa Staczającego Się Stale i Starannie.

DO WIADOMOŚCI

redaktora „*Moskowskich wiadomości*“ podajemy następujący materiał denuncjacyjny na Polaków, który mógł ująć przed jego szpiegowskim okiem:

- I. Każdy Polak, nawet w guberniach litewskich ruskich, kiedy się budzi, przeciąga się i woła przytem a... a... a... a... wymówiając tę literę w polskim języku.
- II. Polacy, mając katar, kichają bardzo często, ale zawsze po polsku.
- III. Kiedy młody Polak pocałuje pierwszy raz młodą Polkę, to dziewczyna rumieni się w polskim kolorze, to jest na ponsowo.
- IV. W Wołyńskiej gubernji, w rowieńskim powiecie, w pewnej wsi, są dwa chłopskie konie, które rzą po polsku.
- V. W Warszawie, na Jasnej ulicy, mały pokójowy piesek czekał wczoraj z okna parterowego po polsku.
- VI. W lasach hrabiego Potockiego za Szepietówką, drzewa szumią nieraz bardzo smutno i zupełnie na polską nutę.
- VII. W Warszawie na moście przy ulicy Agrykola stoi na koniu posąg króla polskiego Jana Sobieskiego.

VIII. Stróż w pewnym domu przy ulicy Pawiej czytał onegdaj w bramie „Warszawską Gazetę Policyjną,” ale tylko stronę z polskim tekstem.

IX. Na ścianie domu, w którym się mieści redakcja: „Warszawskiego Dniownika”, ktoś napisał kredą po polsku słowo o 4 literach, przyczem zamiast „u” otwartego użył błędnie „ó.”

X. Pewien właściciel nieruchomości w Warszawie podał 1-go tego miesiąca rękę rewirowemu. Rewirowy wysunął rączkę, uklonił się, wsunął coś do kieszeni i rzekł *po polsku*: dziękuję.

Oto wiązanka nieulegających wątpliwości faktów i spostrzeżeń, które niechaj służą bezinteresownie czcigodnemu oberdenuncjantowi.

NIEWIERNY TOMASZ.

- Pan nie tutejszy?
- Nie, ja uciekłem z Odessy.
- Po co? Przecież nowy naczelnik miasta zapewnił pańskim współwyznawcom wszelkie bezpieczeństwo.
- Wie pan co? Ja bardzo wierzę nowemu naczelnikowi miasta, ale tymczasem to ja wolę przez jakie pół roku z Warszawy popatrzeć, jak to bezpieczeństwo w Odessie wygląda.

OBSZTURGANY.

Jedzie samorząd do nas z Petersburga,
Lecz go po drodze każdy, kto chce, szturga;
Zanim zajedzie do nas, jako zdanie,
„Samo“ odbija, tylko „rząd“ zostanie.

LUDOŻERCY.

Do przeróżnych nazwisk, które
W różnych czasach nam dawano,
Dziś przybywa do kompletu
Ludożerców jeszcze miano.
W sądzie rzucił prokurator
Potępienia takie słowa,
I ma rację — bo czyż może
Łgąć figura urzędowa!

Tak, jesteśmy ludożercy,
Kanibalski mamy narów,
Bośmy niegdyś w swoich dziejach
Jedli Turków i Tatarów.
I dość często się, niestety,
Dopuszczaliśmy tej zbrodni,
Kulturalny stary zachód
Od nawały broniąc wschodniej.

Tak, jesteśmy ludożercy,
Kanibalskie w nas zasady,
Bośmy Niemców nadgryzali
I Krzyżackie jedli gady.
Słusznie teraz po stuleciach,
Spada na nas wybuch gniewu,

Bośmy siebie nie ustrzegli
Od germańskich fal zalewu.

Tak, jesteśmy ludożercy,
Najzupełniej słuszne zdanie;
Na swej skórze to stwierdzili
Starowiercy i Arjanie.
Ze swych krajów wypędzani
W prześladowań srogim czynie,
Cichą przystań tu znaleźli,
W ludożerczej tej krainie.

Tak, jesteśmy ludożercy,
Zgódźmy się ze sławą ową,
Bo Rusinów (vide Björnson)
Chcemy połknąć na surowo.
Ku Litwinom też się zwraca
Ludożercza nasza pałka,
Choćśmy ich przez pięć wieków
Nie nadgryźli ni kawałka.

Tak, jesteśmy ludożercy,
Nienażarci nigdy przytem,
Mimo tego wschód i zachód
Połknąłby nas z apetytem.
Gdy my jednak ludożercy,
Niechaj inni nam powiedzą:
Jakże nazwać takich, którzy
Ludożerców owych jedzą?

NA MOŚCIE.

— Onegdaj puścili mnie z Cytadeli. Łażę głodny i zmarznięty...
Chyba skoczę do Wisły...

— Co ci z tego? To znów popłyniesz do Cytadeli.

SPOSÓB NA REKLAMĘ.

Humoreska.

Hrabia Portsmucki siedział, głęboko zadumany, w swoim gabinecie, w jednym z licznych domów własnych na Kamiennej wyspie.

Przed nim leżała libra czystego papieru, na którym u góry wypisany był tytuł mającej powstać nowej pracy literackiej hrabiego: *Tysiąc i pierwszy niezawodny sposób zbawienia Rosji*. Właśnie przed chwilą hrabia odłożył pióro i wpadł w głęboką zadumę.

— Jestem dziś zupełnie jak Robinzon Kruzoe — myślał — po pierwsze: siedzę na wyspie; po drugie: jestem jak on samotny — i po trzecie: ludzie nic o mnie nie mówią i zdają się o mnie nie wiedzieć...

Nerwowym ruchem zadzwonił na lokaja.

— Poproś tu mego Piętaszka — rzekł do wchodzącego — t. j. chciałem powiedzieć: sekretarza Gurjewa.

Po krótkiej chwili zjawił się wezwany — prawie oko hrabiego, prawie ucho i prawa ręka, w jednej osobie.

— Jak się masz, Gurjew? Czytałeś dzisiaj gazety? masz zapewne jakie wycinki o mnie?

— Panie hrabio, przewertowałem wszystkie gazety, ale wycinków nie mam, bo nikt dziś ani słowa o panu hrabim nie pisał.

— Nieszczęściel!... — jęknął hrabia i przetarł dłonią zasępione czoło. I nikt mi nie wymyślał? — zapytał po chwili.

— Ani pochwał, ani wymyślań nie było.

— O Boże, jakże ja upadłem!... nikt mi nie wymyślał!... To smutne, to okropne!... Mówiłeś z redaktorami?

— A jakże. Odpowiedzieli mi jednogłośnie, że szanujące się pisma nie mogą drukować takich humbugów, jakie pan hrabia puszcza w kurs o sobie.

— Co robić? — poradź, drogi Gurjew. Przecież ty nabrałeś sprytu... przez ciągłe obcowanie ze mną.

— Jedna rzecz tylko zmusiłaby dziś ludzi do mówienia o panu hrabim.

— Co takiego?

— Zamach na pana hrabiego — odparł Gurjew-Piętaszek.

W parę dni później hrabia znów siedział w gabinecie ze swoim *alter ego*.

— Wszystko gotowe do zamachu — raportował sekretarz. Na sygnał pana hrabiego, napalimy w piecu i maszyna piekielna wybuchnie.

— Ma... ma... maszyna piekie...kielna... wybąknął zaniepokojony hrabia.

— No tak. To najlepsze. Będzie dużo huku, trochę smrodu, a nic bólu.

— Czy jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy. Przecież nie wziąłem maszyny od rewolucjonistów, lecz wypożyczyłem ją z ochrony.

— Tak, to musi być tandeta, jak bomby w war-

szawskim Bristolu. W każdym razie jestem trochę niepokojny...

— Zresztą wybuch nastąpi w przeciwległym końcu domu. Niech się pan hrabia nie obawia tego zamachu.

— Naturalnie... ale, widzisz, zawsze... strzeżonego Pan Bóg strzeże. Czy nie mogłoby się obejść bez huków...

— W takim razie byłoby tylko usiłowanie zamachu, a nie sam zamach.

— Usiłowanie zamachu! Wiesz co, Gurjew: to jest myśl! Obejdzie się bez huków i bez smrodu! Doskonale! — rzekł hrabia, zacierając ręce z zadowolenia.

— Jak pan hrabia sobie życzy... ja przygotowałem wszystko.

— Tak, tak, odkryjemy zamach sami... A czy lont od maszyny jest widoczny?

— I ślepy go zobaczy.

— Więc dobrze. Niech pacholek idzie napalić w piecu, niech zobaczy lont i zrobi alarm.

— Podług rozkazu pana hrabiego.

— Jeszcze jedno: palić w piecach niech lepiej idzie bez zapalek... z ogniem żartować nie można! a powiedz mu, że będzie hojnie wynagrodzony za odkrycie zamachu...

.....

W niespełna godzinę potem, hrabia siedział w wielkim oknie gabinetu i rozkoszował się widokiem zaalarmowanej zamachem siły zbrojnej i ochronnej. Ku pałacowi na Kamiennej wyspie ciągnęły nieprzerwanym sznurem szwadrony żandarmów, policja konna

i piesza, mundurowa i cywilna. Kozacy lejbgwardji i linjowi rozpedzali gromadzącą się publiczność.

Niebiańską muzyką brzmiały w uszach hrabiego okrzyki ulicznych sprzedawców gazet, którzy, wymachując nadzwyczajnymi dodatkami, darli się na całe gardło:

— Okropny zamach na hrabiego Wittego!

— Nareszcie znów o mnie mówią! — szepnął uszczęśliwiony hrabia, zapalając prima cygaro, ofiarowane mu przez prezydenta Roosevelta w Portsmoucie.

A TO NIEWIERNY TOMASZ!

— Czy ty wierzysz w możliwość porozumiewania się z Marsem?

— Wierzę.

— Czy ty wierzysz w dotarcie do bieguna północnego?

— Wierzę.

— Czy ty wierzysz w rozwiązanie kwadratury koła?

— Wierzę.

— Czy ty wierzysz w zniesienie stanu wojennego w Warszawie?

— Nie wierzę.

PIERWSZY PARAGRAF.

— Lecę do Wendego, który wydaje „Księgę zdrowia,” ażeby według mojego układu zamieścił w niej pierwszy paragraf.

— Jaki?

— Taki: zasadniczym warunkiem zdrowia dla każdego Polaka w Królestwie, jest natychmiastowe zniesienie stanu wojennego.

NA TAKIM KAWAŁKU.

— Co tam robisz przed lustrem?

— Oglądam swój polski język.

— I co?

— I dziwię się, że na takim kawałku mogła się zatrzymać cała kwestja samorządu w Królestwie.

BIEDNY HRABIA.

Hrabia Witte, hrabia Witte,
Znakomity człek,
Polityki gardło syte
Ma już po sam brzeg.
Ciężkie (tak rzekł), dlań jest życie,
Rwie się wpływów nić,
Rząd nie płaci mu sowicie,
Nie ma z czego żyć!

Chodzi teraz bez nadziei,
Łzy mu kapią z lic,
Na finansach, na kolei,
Nie zarobił nic.
Najbiedniejszy człek pod słońcem,
Jaki może być,
Ledwie wiąże koniec z końcem,
Nie ma z czego żyć!

Stracił władzę swą intratną
I wawrzynów liść,
Na posadę więc prywatną
Musi biedak iść.
Będzie w roli dyrektora
W jakim banku tkwić,
Bo go trapi nędzy z mora,
Nie ma z czego żyć.

Wciąż przeklina, wśród goryczy,
Nędzną starość swą,
A milionów swych nie liczy,
Bo to... żony są.
Nie zyskuje, nie zarabia,
Przestał nawet tyć,
Biedny hrabia, biedny hrabia!
Nie ma z czego żyć!

OSTROŻNOŚĆ NIE ZAWADZI.

- Co pani mąż porabia?
- Przez cały dzień chodzi po pokoju po jednej desce.
- A to na co?
- Uczy się chodzić według nowej wyborczej instrukcji, żeby podczas wyborów nie wejść przypadkiem z nią w kolizję.

OSTROŻNIE Z POLITYKĄ.

- Co się stało z tym pocziwym Józkiem? Tak dawno go nie widziałem.
- Siedzi biedak w Tworkach.
- Bój się Boga, taki zdrowy człowiek!...
- Ano był zdrow, ale jak zachciało mu się zbadać, które z naszych stronnictw politycznych ma rację, tak w końcu nic się nie dowiedział i dostał pomieszania zmysłów.

RÓŻNICA.

- Jaka jest różnica pomiędzy dyplomata, a bandytą?
- Taka, że dyplomata może pójść wysoko, jeśli jest zręczny, bandyta zaś, jeśli jest niezręczny.

TAK CHCIAŁ POWIEDZIEĆ.

- Następny Zjazd lekarzy polskich ma się odbyć w Warszawie.
 - A kiedy?
 - Za parę lat.
 - Aha, to chciałeś powiedzieć na gruzach Warszawy.
-

Ł A J D A K I.

Nad Dnieprem rozlewnym, w prastarym Kijowie
Magnaci - Polacy radzili,
Co robić, by wpływy, majątki i zdrowie
Zachować w niepewnej dziś chwili,
By zawsze odrębnym, wysokim być stanem,
A nie iść z innymi pospołu,
Co robić, by nadal pozostał pan panem
I w chłopą tak orał, jak w wołu.
Po długich naradach, obfitej wiecerzy,
Spożytej w klubowym zakątku,
Orzekli, że panom - magnatom należy
Starego się trzymać porządku.
Na nowo swe herby spleśniałe wyzlóca,
Już ich opozycja nie splami
I będą ruch wszelki, z wszelaką pomocą,
Poskramiać wspólnymi siłami.
O cześć wam, panowie! o cześć wam, magnaci,
Co w przyszłość patrzycie z niechęcią;
Historja wam kiedyś sowiec zapłaci
Wieczystą, haniebną pamięcią.
Ze czi i zaszczytnych odarłszy was znaków,
Zapisze to pamięć jej krzepka,
Że była nad Dnieprem, w historii Polaków,
Dwakroć Targowicy kolebka.

Współczesnych, co mają uczucia w swem łonie,
Nie dziwi ten szlak wasz utarty,
Bo wiedzą, że dla was najmiłsze są konie,
Kobietki, szampany i karty,
Czy bez was, czy z wami, nam będzie jednak,
A że wam niemiłe piołuny,
Więc jedźcie expresem, w kochanem Monaco
Przegrywać splamione fortuny.

KALENDARZYK.

Imiona słowiańskie. *Dziś*, Stuliusta. *Jutro*. Prawokopa i Kijobiora.

Zjazdy. Kopanych niżej krzyża przez szwabów w Sobotach i Kolobrzegu. Płaczących nad upadkiem polskiej ojczyzny przy ruletce w Monte-Carlo. Mentekaptusów, zabijających przemysł w Łodzi.

Wystawy stałe. Naszej głupoty w Hadze, przy podawaniu memoriału w sprawie polskiej.

Wystawy terminowe. Fortec, więzień, aresztów, miejsc przymusowego pobytu, chwilowych zamknięć, napchanych 1,269,144 mieszkańcami Królestwa.

Muzea. W redakcji „Słowa” szczątki okazu zwierzęcego z czasów przedhistorycznych, zwanego: „Ugoda servus,” bez krzyża, oczodółów, ale z giętym jeszcze karkiem.

Biblijoteki. Wydawnictw szlachejnych w redakcji „Rossija.”

Jarmarki. Na niesprawdzone polityczne sensacje, w każdej warszawskiej cukierni. Na nas, w Berlinie.

Teatry i zabawy. *Dziś, jutro i codziennie.* „Kula w brzuch czyli wesoly bandyta” dramat o 9.000000 aktach, każdy o 100 scenach z Pogotowiem. Zabawa w „Chowanego,” przy udziale miejscowej policji, conocnie od 12 do 5 z rana. „Nadzieja matka głupich”, uroczystość staropolska, wyciągnięta w tych dniach z pyłu wytrzępana i na nowo zareżyserowana przez L. Straszewicza.

WESTCHNIENIE ZA PRZESZŁOŚCIĄ.

Minęły czasy, szczęśliwsze niestety,
 Gdy konstytucji nie było zarysów,
 Każdy lojalnie szedł do swojej mety
 I wyjątkowych nie czytał przepisów.
 Apuchtin czuwał nad naszą oświatą,
 Nad całym krajem feldmarszałek sławny,
 Był zawsze wakans w przybytkach za kratą
 I stan wojenny ukryty, nie jawny.

Minęły czasy, szczęśliwsze, zaiste,
 Gdy rząd się z ludzką nie liczył gawiedzią
 I gdy na każdą skarg lub podań listę,
 „Nielzia” — jedyną było odpowiedzią.
 Dziś każdy jakieś wciąż pretensje rości,
 Stąd konstytucja działać jest niezdolna,
 I człowiek, patrząc na cztery wolności,
 Nie wie, co wolno mu, a co niewolno.

Minęły czasy, szczęśliwsze napewno,
 Kiedy kar widma nie szły całą masą,
 Gdy grek Jankuljo, wyschnięty jak drewno,
 Czule się polską opiekował prasą.
 Prasa tworzyła jeden kolor szary
 I jak dziś, miała na rękach powrozy,
 Lecz nikt nie słyszał: trzy tysiące kary,
 Lub jeśli wolisz, — trzy miesiące kozy.

Minęły czasy, szczęśliwsze — do licha!
 Kiedy kłopoty mniejsze były w sumie,
 Gdy każdy, jako mysz pod miotłą cicha,
 Siedział, nie marząc o posłach i Dumie.
 Człek w polityce nie szukał podniety,
 Nie myślał, żeby na wiecach drzeć płuco...
 Minęły czasy, szczęśliwsze, niestety,
 Lecz próżno płakać — one już nie wróca!

MILUCHNE ARTYKULIKI POLITYCZNE Z PISMA „RUSKO- JE ZNAMIA.”

+ Zwracamy uwagę szanownego oberpolicmajstra miasta Warszawy, że na domu narożnym przy ulicy Bugaj, jedna litera w rosyjskim napisie jest uszkodzona. Uszkodzenie to uczynił przez figle 7-mioletni syn szewca z Bugaju № 94, parter, za co należy małego, oraz ojca i matkę, wziąć do kozy, tembardziej, że starszy ich syn Roman, ma spinki od święta tak zwane krakowskie, z orłem i pogonią, a córka chowa codzień pod poduszkę dwa tomy powieści Bolesławity. Niezależnie od tego narzeczony jej, czeladnik krawiecki z Tamki № 116, przechodząc wczoraj koło gmachu Banku Państwa, spojrzął na wiszący tam nowy zegar i powiedział: „psiakrew,” potem z kolegą zwanym: kulawy Lzydor, (Smocza 143), pokazywali palcem w stronę Placu Teatralnego.

□ Następujące osoby polecamy panu szefowi żandarmierji w Moskwie, jako kwalifikujące się do natychmiastowego osadzenia w więzieniu: Grigorja Bezsztannawo, Porfirja Niszczawo i Gieorgja Gołodajuszczawo. Bliższych informacji na papierze udzieli w razie potrzeby wydział denuncjacyjny naszej administracji, za zwrotem kosztów utrzymania czterech współpracowników naszej redakcji, którzy przez miesiąc pełnili na ochotnika rolę syszczyków.

— Słyszaleś, Guczkow ma zostać ministrem.

— A właśnie. Kto chce mu w piśmie łatkę przypiąć, niech się spieszy, bo później nie będzie wolno.

LIKWIDACJA ŁÓDZKIEJ P. P. S. F. R.

Robili dużo przez długi czas
 Zamętu w kraju i wrzawy,
 Dziś pośród resztek zabranych kas
 Skończyli żywot bez sławy.
 Przystanie istnieć już frakcja ta,
 Zamknięta „działań” jej era,
 Nam z tej przyczyny nie płynie iza
 I serce żalem nie wzbiera.

Pośród narodu chcieli mieć prym
 I Polski przywozić synom,
 Lecz naród zawsze był obcy im
 I brauningowym ich czynom.
 Rósł więc ten kwiatek bez mocy, sił,
 W rozterce z braćmi swojemi,
 Bo nie ojczystym powietrzem żył,
 Nie czerpał soków z tej ziemi.

Frakcja, co chciała (tak program brzmiał)
 Wieść do wolności nas szczytów,
 Wpadłszy w rabunków i mordów szal,
 Stała się szkołą bandytów.
 Znikł ideowych frazesów szych,
 Brudne rozsiadły się żądze
 I z pośród hasel podniosłych ich
 Zostało: „dawaj pieniądze!”

Tam, gdzie miał gromko brzmieć „ludu gniew”
 I zemsty sypać się gromy,
 Niewinnych ludzi lała się krew
 I kwitł bandytyzm widomy.
 Bezmyślne czyny spełniając swe
 Z szalenstwem u nas nieznanem,
 Miała ta frakcja bezczelność tę
 Polskiej osłaniać się mianem.

Mogą Polacy mieć dużo wad,
 Może ich trud być nieżyzny,
 Może przeklinać ich czarny świat,
 Za zbytnią miłość Ojczyzny.
 Ale ich frakcji podobnych nieć
 Nie splącze i nie omota,
 Bo bandytami nie chcemy być,
 Ani zbójami z za płota.

O NICZEM.

- O czym wy teraz piszecie w humorystyce?
- O niczem.
- I to ma być ciekawe?
- Czemu nie? Jak kto umie dobrze czytać, to i w niczem coś znajdzie.

DAĆ SPOKÓJ ŁZOM.

- Czego pańska żona tak ciągle płacze?
 - Co pan chce, jej synowie na zesłaniu.
 - Kochany panie, gdyby wszystkie matki warszawskie poszły za przykładem pańskiej żony, tobyśmy stali w całym mieście po szyje w wodzie.
-

KŁOPOTY PREZESÓW.

Obrazek do teatru iluzji.

M. A. Chomiakow, prezes Dumy.

A. I. Guczkwow, prezes październikowców.

Guczkwow. No, nareszcie nasz statek wypłynął na pełne wody.

Chomiakow. Czas już na to wielki, bośmy zadługo siedzieli na mieliznie.

Guczkwow. Jednakże i teraz żegluga nie jest pewna. Niebezpieczeństwa ze wszystkich stron: rafy, kamienie podwodne i wiry dookoła.

Chomiakow. Sądzę, że kompas rządowy wskaże nam bezpieczną drogę.

Guczkwow. I ja tak myślę, trzeba jednak wciąż uważać, z której strony wiatr wieje.

Chomiakow. Wiatru z lewicy niema co się obawiać.

Guczkwow. Ale wiatr kadecki może nam zaszkodzić.

Chomiakow. Za mało ich jest, nie mogą silnie dmuchać. Zresztą znajdzie się na nich sposób.

Guczkwow. Jaki? jaki?

Chomiakow. Wpakujemy ich na robotę do komisji. Przy uprzejmej pomocy gabinetu ministrów, damy im tyle materiału, że po każdej sesji w komisji, nie zechce się im językiem ruszyć.

Guczkwow. Myśl wcale dobra, ale to nie jedyny kłopot. Przeróżni inorodcy zaczną szturmować o prawa dla siebie.

Chomiakow. Ach, ci inorodcy!... że też oni się gnieźdzą w Rosji! Nie mogliby to sobie pójść gdzie-indziej!...

Guczkwow. Polacy, Kaukaz i Żydzi...

Chomiakow. Nadewszystko Polacy. Ciągłe nam pchają w nos swoją autonomję i chcą, żeby ją wachać. A przecież to wcale nie pachnie.

Guczkwow. Jak zgniły homar.

Chomiakow. Brz... nie mów pan tak, bo nabiorę wstrętu do homara. Do autonomji już mam.

Guczkwow. Podzielam pański gust w zupełności.

Chomiakow. Jednak kto wie, może im trzeba będzie dać jakie ulgi?

Guczkwow. Ulgi?... A czyż im ciężko? Czyż nie mogą mieszkać w całej Rosji? Czyż jest dla nich jaka granica osiedlenia?

Chomiakow. Prawda, prawda. Mieszkając w Rosji, bogacą się naszym kosztem. Właściwie mówiąc, zamiast ulg, może należałoby pomyśleć o jakich ograniczeniach dla nich?

Guczkwow. Pomyślimy o tem. To się w zupełności zgadza z naszym konstytucyjnym programem.

Chomiakow. A z Kaukazem co zrobimy?

Guczkwow. Z Kaukazem?... Hm... hm... Po sprawiedliwości, należałoby inorodców tamtejszych wysłać na osiedlenie pod biegun północny. Z trzech Dum mamy dowód, że wszyscy oni socjaliści.

Chomiakow. Tak jak i Żydzi.

Guczkwow. Ach ci Żydzi!... tyłu ich jest u nas...

A ilu by ich jeszcze było, gdyby nie zdarzające się czasami zmniejszanie przyrostu ludności żydowskiej.

Chomiakow. Mówisz pan o po...

Guczkw. Tak. O powtarzających się niekiedy tak zwanych, wybuchach gniewu ludowego. A Żydzi się ciągle skarżą, że im źle w Rosji. Czy wobec tego mają jakąkolwiek rację?

Chomiakow. Jest to cecha wszystkich naszych inorodców. Wieczne niezadowolenie, wieczne narzekanie. Nie mogą zrozumieć, że przecież Rosja dla Rosjan. Nie koniecznie dla prawdziwych, ale i dla paździcznikowców, oraz innych partji na prawo od kadetów.

Guczkw. Rzeczywiście. I lichy nam nadało tych inorodców!

Chomiakow. Znakomity nasz Szchedryn powiedział kiedyś w przystępie dobrego humoru. „Boże! żeby pcheł i komisarzy nie było, tożby dopiero raj był, nie życie!” Podług mnie, należałoby to powiedzieć inaczej. Komisarze są potrzebni, więc istnieć powinni. Ale żeby tak pcheł i inorodców nie było, toby naprawdę raj był w Rosji.

Guczkw. (*śmieje się*). Ha!... ha!... ha!... Pysznie powiedziane, ale jabym to jeszcze zmienił: pchły niech zostaną, tylko inorodcy niechaj się od nas wynoszą za dwadzieścia dziewięć ziem, do trzydziestego państwa.

CO TRZEBA MIEĆ.

— Jednak to trzeba mieć odwagę w głowie, żeby pójść i podłożyć komuś pod drzwi bombę,

— Mylisz się, mój drogi. Żeby pójść i podłożyć komuś pod drzwi bombę, nie trzeba mieć nic w głowie.

NIE PRYZNAJE SIĘ DO WINY.

Na fotelach senatorzy
Siedzą według rang i planu,
A na ławie W. J. Hurko,
Rzeczywisty radca stanu.
Na pytanie, czy jest winien,
Zna występne swoje czyny?
Hurko mówi: „Oczywiście,
Nie przyznaję się do winy.”

I ma rację eks-dygnitarz,
Nie popełnił bowiem zbrodni;
Jeśli tutaj kto zawinił,
To włościanie, że są głodni.
Winno zboże, że jest drogie
I skarb traci z tej przyczyny,
Ale Hurko — oczywiście,
Nie przyznaje się do winy.

Nic, że stracił pół miljona
Kraj, co płynie miodem, mlekiem,
Nie żał bowiem tracić z takim,
Jak jest Lidwał, miłym człkiem.
Lwia część tego na śpiewaczki,
Na szampańskie poszła płyny,

A więc Hurko — oczywiście,
Nie przyznaje się do winy.

Przez trzy lata w bezczynności
Będzie musiał przetrwać z żalem,
Po trzech latach zawrze pewnie
Nowy kontrakt znów z Lidwałem.
A tymczasem choć skazany,
Jest on pewny siebie z miny,
Mówiąc z dumą: — oczywiście,
Nie przyznaję się do winy.

PRZYSŁOWIA.

„Dobra psu i mucha.” rzekł książę Bülow i kupił sobie naszą „Muchę,” na dworcu w Berlinie, ażeby zobaczyć, co tam o nim stoi.

*
*
*

„Każdy kij ma dwa końce,” pomyślał hrabia Uwarow w Dumie Państwowej i wyszturgawszy jednym końcem draga Polaków, wykreślił go i zaczął ich szturgać końcem drugim.

W MOJEJ SYTUACJI.

— Pan chyba niema wcale serca? Kraj przyciśnięty i w biedzie, a pan sobie w najlepsze dowcipkuje.

— Ma pan rację. To jest istotnie jakaś wada organiczna, że ja wolę dziesięć razy zaśmiać się wesoło, niż raz zapłakać.

— I niema na to żadnego lekarstwa?

— Niema, panie. Próbowałem nawet brać z rządowej apteki, nic nie pomogło.

W REDAKCJI.

— Panie redaktorze, jakim prawem tak mi pan wymyśla ordynarnie? Czy panu się przypadkiem nie zdaje, że pan jest naczelnikiem Taurydzkiego pałacu, a ja dziennikarzem do pisania sprawozdań z Dumy?

W KLUBIE PRAWICY.

Puriszkiewicz.
Bałaklejew.
Raznatowski.
Markow II.
Aleksiejew.
Kelepowski.

Puriszkiewicz. Udało się nam, bracia patrjoci! Wygnali my Rodiczewa na 15 posiedzeń z Dumy.

Kelepowski. Myślał, że tylko nas wyganiać można, jak w drugiej Dumie. Nie, brat—i na ciebie przyszło... posmakuj!

Raznatowski. Władzę obrażać zamyslił... taki syn!

Markow II. Tak z każdym będzie, kto tylko piknie na władzę. I na tych tam... polaczyszek kolej przyjdzie.

Kelepowski. Mieli my przyjemność prawdziwą, zrobmy sobie teraz drugą i krzyknijmy: precz z konstytucją!

Wszysey. Precz!... precz!...

Raznatowski. Żydowski to wymysł ta konstytucja, co już po etymologii słowa wychodzi. Kon... Kon... któż może być Kon, jak nie żyd?

Markow II. Nie chcemy Konów!

Bałaklejew. Jeżeliby to była *stytucja*, tak można

by się z nią jeszcze zgodzić, chociaż to nie ruskie słowo, no *konstytucja* nigdy!

Kelepowski. U nas musi być wszystko ruskie i nacjonalne!

Puryszkiewicz. Ot, deputat Schmidt zrozumiał w czym rzecz i prosi, żeby mu jego germańskiego Schmidta na ruskiego Kuzniecowa zmienić.

Markow II. Sławny patrijot! Tak wszystkim należy robić.

Aleksiejew. Tak robi już wielu. Ot, ja właśnie z Warszawy papier otrzymał, gdzie trzech istinno-ruskich, o zmianę nazwisk prosi.

Puryszkiewicz. Kto oni? Warto o nich pamiętać za ich patrijotyczne myśli.

Aleksiejew. Wurcel, inżynier, prosi, żeby on się odtąd nazywał *Relsojedow*; doktor Lewis chce zwać się *Klizopompow* i prezes teatrów warszawskich Herszelman, nazywać się zamysła: *Kafiejnikow-Kaweckij*.

Puryszkiewicz. Sławnie pomyslane. Trzeba im pomóc w ich staraniach, tym patrijotom.

Aleksiejew. (z dumą). U nas na kresach wszyscy tacy. Nie to, co tutejsi paździenkowcy.

Puryszkiewicz. Ach, ci zdrajcy!.. podkadeci!.. judaszowe syny!

Kelepowski (*podnosi pięść*). Ich by skasować należało.

Markow II. A jak to zrobić?

Puryszkiewicz. Bardzo prosto. Poprosić władzę, żeby kazała wymazać z kalendarza 17 października. Kiedy nie będzie 17 października, nie będzie i jego zwolenników.

Raznatowski. Ot, co! (*Wskazuje na Puryszkiewicza*). Nu, głowa!

Bałaklejew. No cóż my z tym dniem wymazanym zrobimy?

Puryszkiewicz. Nic, on zostanie, a tylko my 17-ty w 16-bis przemianujem i będzie tak: 16, 16-bis, 18... 17-ty zginie, a z nim i paździenkowcy.

Markow II. Ura! niech żyje nasz komendant Puryszkiewicz!... niech zginą paździenkowcy!

Raznatowski. Chcieli oni żydowskie wymyślić w Rosji wprowadzać... szisz im!

Kelepowski. Zagraniczne kwiatki do ruskiego korenia przyczepiać.

Puryszkiewicz. To nam niepotrzebne. Ruski koreń mocny i da sobie radę bez obcej pomocy.

CIĄGNIE GO.

- Chiałbyś być obecnym prezesem warszawskich teatrów?
- Nie.
- A wice-prezesem?
- Też nie.
- Dla czego?
- Ty łobuzie, tak mnie za słówka ciagniesz, ażebym zapłacił trzy tysiące rubli, albo poszedł na trzy miesiące do kozy?

W CUKIERNI NA DZIKI GASS.

- Już ja dłużej tutaj z gorącości nie wytrzymam; idę się przejść.
 - Dokąd?
 - Troszkę na Marszałkowską albo w Aleje.
 - A czy wy już testament napisany macie?
 - Oj, oj, od roku.
 - To idźcie.
-

OTWARCIE DUMY.

Posłowie weszli tłumnie i zasiedli kołem...
Prezes Dumy najpierwsze wziął miejsce za stołem,
Obok wice-prezesa oraz sekretarza.
Wszyscy mają ponure, zamyślane twarze,
Albowiem Puriszkiwicz z całą swoją zgrają,
Patrzą gniewnie dokoła i brwiami ruszają.

Pan Stołypin, lśniąc złotem, siadł w złoconej łoży
I z elitą ministrów, świetny widok tworzy.
Obok szepczą półgłosem, by nie dać się nudzić,
Kaufman, Schaufuss i Wendrich—sami ruscy ludzie.
Widać w duszy premjera troska siadła skrycie,
Bo choć ustami pragnie rzec: „nie zastraszyć”,
Z twarzy jego niepokój i smutek wyziera.
Nie mówi do nikogo, czoło wciąż pociera,
Nieruchomy, jak sali marmurowe słupy,
Patrzy, jak się rozsiadły nowych posłów grupy.
Tam, gdzie niegdyś lewica była pełna wrzawy,
Cisza dziś i pustkami całe stoją ławy.
Zaledwie kilku posłów obecnością świeci,
Którym się przejść udało przez sidła i sieci
Ordynacji wyborczej, złożonej rozumnie.
„Zwyciężyłem—rzekł premier i głowę wzniosł dumnie.
„Gwałtowny napór lewych wstrzymałem w rozpędzie,
Rewolucji z lewicy już w Dumie nie będzie”.

Uśmiechnął się, po sali dalej okiem wiedzie,
Patrzy: w centrum posłowie tak jak w beczce śledzie,
Siedzą gęsto, że szpilki między nich nie wsadzi,
Poważni, zamyśleni, z sytuacji radzi.
„Z tymi—szepcze Stołypin, nie będę miał biedy,
Odkąd znikły z tych ławek kadetów czeredy,
Spokojni oktobryści ster w dłonie zabiorą
I mego gabinetu staną się podpora,
Pozwolą mi się ugnieść kształt żydowskiej macy,
A za to ja ich uznaję za zdolnych do pracy.
Lecz tam na prawo... zastęp, zwiększony stokrotnie,
Napełnia mnie obawą. *Passez le mot*: sotnie,
Co tam się zgromadziły, z mej powagi szydzą
I równie, jak lewica też mnie nienawidzą.
Z niemi trudniejsza sprawa. Gdy ich był dziesiątek,
Przydali mi się nieraz, jak do ognia wrzątek,
Lecz dziś ich miny, gesty dobrego nie wróżą,
Zadużo ich jest w Dumie... zadużo! zadużo!...
Popierając ich sprawę, byłem, zda się w błędzie...”
Rewolucja z prawicy dzisiaj w Dumie będzie”...

Ledwie skończył tok myśli z smutkiem u oblicza,
Usłyszał dobrze znany głos Puriszkiwicza.
Stawia czarny admirał, poparty przez tłumy,
Wniosek nagły i krótki: „Niepotrzeba Dumy!
Niech będzie tak jak było przez całe stulecia,
Bez zamorskich nowinek, zachodniego śmiecia!
Precz z Dumą! Konstytucji precz widok haniebny!
Precz gabinet ministrów, również niepotrzebny”...

ZJAZD WSZECHSŁOWIAŃSKI.

OSOBY:

Dr. Dubrowin, prezes związku N. R.

Puriszkiwicz, wice-prezes.

Suworyn ojciec.

Menszykow.

Suworyn. Jakże się panom podoba mój projekt zwołania zjazdu wszechsłowiańskiego?

Dubrowin. Uważam, że jest na czasie, zwłaszcza dziś, gdy my, słowianie rosyjscy, jesteśmy uciskani przez żydów i różnych inorodców.

Puriszkiwicz (*zaciska pięści*). Bodaj ich pokreć!o!

Dubrowin (*do Puriszkiwicza*). Nie wściekaj się tak, kochany Włodziu, nie jesteśmy w Dumie, możesz mówić spokojnie.

Menszykow. Czas już, żeby strumienie słowiańskie zlały się w ruskiem morzu, jak rzekł Puszkina.

Suworyn. Jako prawdziwy słowianofil, zawsze to doradzałem słowianom. Niestety, słuchać mnie nie chcieli.

Puriszkiwicz (*gwałtownie*). Nas muszą posłuchać! Inaczej będzie źle.

Menszykow. Kogóż więc zaprosimy na zjazd?

Suworyn. Przedewszystkiem Czechów. Oni nam zawsze sprzyjali i zgadzali się na nasz program słowianofilski, jeszcze w 1866 r.

Dubrowin. Hm... Czesi... Nie wierzę w ich prawomyślność. Podejrzani są, chytrzy.

Puriszkiwicz. Skompromitowali się teraz, przemawiając za Polakami w Dumie austriackiej. Do czorta z nimi!

Suworyn. Jednakże bez Czechów zjazd nie będzie kompletny.

Menszykow. Panowie, mam myśl! Po co nam zapraszać Czechów, obcych poddanych? Sprowadźmy kilku naszych Czechów z Wołynia. Napijemy do gubernatora, żeby wybrał kilku Czechów słowianofilów i wydelegował na zjazd. Będziemy pewni, że ich ideje słowiańskie nie przechodzą granic, określonych przez departament policji.

Suworyn. Doskonała myśl! (*do Mienszykowa*). Ty, stary Judaszu, zawsze coś wymyślisz.

Dubrowin. Zatwierdzam. No, a jeszcze jacy tam są Słowianie?

Puriszkiwicz. Bułgarzy.

Suworyn. Ach, bratuszki-szelmy! Im nie można wierzyć. Niewdzięczni separatyści!

Dubrowin. Za karę pominąć ich.

Mienszykow. Pozostają Serbowie, ale o tych się nie kłopotcie. Mam znajomego Serba, który do mnie często ze wschodnimi towarami przychodzi. Tego zrobimy delegatem serbskim na zjazd. Politycznie zupełnie pewny.

Dubrowin. Dobrze, są jeszcze jacy?

Puriszkiwicz. Węgry.

Mienszykow. Co ty pleciesz! Węgry nie Słowianie, tylko mają swoich Słowian, Chorwatów.

Puriszkiewicz. A! w błoto z nimi! Ktoby tam ich wszystkich spamiętał!

Suworyn. Trzeba będzie zaprosić kilku studentów Rusinów, z tych co to urządzają „borby” w uniwersytecie lwowskim. To doskonały materiał słowiano-filski. Tylko sęk: co zrobić z Polakami?

Dubrowin. Polacy? a po co oni nam potrzebni?

Suworin. Przecież to też Słowianie.

Puriszkiewicz. Cholery! wszędzie się wcisną. Nawet do Słowian się zapisali, żeby nam dokuczać.

Dubrowin. Oni, mówią, rzymskiego Papy słuchają, tak jak jacy oni słowianie? Podać prośbę do władzy, żeby ich ze spisu Słowian wykreśliła i obejdzimy się bez nich na zjeździe.

Mienszykow. Ja ze swej strony napiszę feljeton, że Polacy tylko przez swoją intrygę zaliczeni zostali do Słowian, do czego, ze względu na swe niewiadome pochodzenie, nie mają najmniejszego prawa. Wobec tego poradzimy im, żeby lepiej nie mieszały się do naszych domowych słowiańskich spraw.

Suworyn. (rozczulony). Genjalny pomysł! Niech cię uściskam, najmilszy (całuje Mienszykowa). Swoją drogą, zjazd nasz, jako niezbyt liczny, nie będzie miał wielkiego znaczenia. Trzeba uroczyściej wystąpić.

Mienszykow. Myślałem już o tem i z góry zaprosiłem kilkunastu członków, tworzącej się partji wielkoruskiej, do której mam zaszczyt należeć.

Dubrowin. Wybornie. Kto oni?

Mienszykow. Są to ludzie o niezachwianych i wypróbowanych przekonaniach słowiańskich, dążący

szczerze do zjednoczenia wszechsłowiańskiego. Oto ich nazwiska: Deitrich, Reitern, Turau, Brasol, Tiesenhäusen, Kramer, bar. Nolken, hr. Ekkespare, Nejdhard, Dellingshausen, Nolde, Dorrer, Rauch von Traubenberg i Schafhausen-Schönberg-ek-Schaufuss.

ARYTMETYKA DUMY.

Arytmetyczny stosunek wszystkich trzech Dum do nas jest następujący:

	w Dumie:		
	I	II	III
Było i jest:			
Tych, co nam buty szyją	20	45	90
Tych, co pod nami dolki kopią	40	80	100
Tych, co chcą nas utopić w łyżce wody	20	150	150
Tych, co by nas zjedli na zimno	10	120	189
Tych, co chcą ciosać nam kołki na głowie	200	100	15
Tych, co nas kochają	0	0	0

KRÓTKI EGZAMIN.

- Czem ty jesteś?
- Polak mały.
- Co cię czeka?
- Tylko wały.
- Za co miałbyś
- Brać wciąż basy?
- Bom człowiekiem
- Drugiej klasy.

ZNAK SZCZEGÓLNY.

- Czy pan nie jest pepeesem?
- Z czego pan przypuszcza?
- Bo pan ma niezmiernie smutną minę, a słyszę, że pepeesy w ostatnich czasach strasznie podupadli na humorze.

PO PROCESIE STESSLA.

Sąd nad Stesslem się odbył. Kuropatkin blady,
Wróciwszy, siadł przed biurkiem i dobył z szuflady
Zeszyt, który za pokarm duchowy mu służy,
Którego nie porzuca w domu i w podróży.
Były to: „Memuary własne.” W onych ściśle
Stało spisane, jako po długim namyśle,
Zdecydował się wreszcie jechać do Mandżurji
I wpaść na Japończyków z siłą groźnej furji,
A skończywszy w trzy migi z zuchwałą hołotą,
Zawrzeć pokój zaszczytny w Tokio albo Kioto.
Jak jechał tryumfalnie na walk krwawych pole,
Wśród błogosławieństw tłumów, z odwagą na czole
I szeptał, widząc zapał, który w ludziach gości,
Pełen głębokich myśli wyraz: „cierpliwości!”
Czytał więc i rozmyślał wśród smutku i żalu.
I stanęły mu w oczach: pierwszy grzmot nad Jalu,
Odchodzenie na północ i następne sceny:
Kajczu i Daszicao, Wafangu, Hajczyeny,
Szumnie brzmiące depesze: „wszystko według planu,”
Skośnooki Kuroki, marsz z pod Laojanu,
Jantaj, Bensichu, Szache, pułapka w Sandepu,
Stosy trupów półnagich na „sopkach” wśród stepu,
Stada kruków krakaniem głoszące swe „hura,”
Mąka stęchła, but zgniły i intendentura.

I ogląda sam siebie, jak w wagon-salonie,
Gdy tysiąc dział dokoła strasznym ogniem zionie,
Mknąc całą siłą pary po wielkiej równinie,
Minawszy Mugden, Fuszun, oparł się w Telinie.
Tu odetchnął głęboko. Zwiśla siwa głowa,
Szepnął: gdzież dawny splendor, gdzie sława bojowa,
Tyłem do mnie w Mandżurji zwrócił się los srogi,
Wzięli wszystko Ojama, Oku, Nodzu, Nogi...
I wygodniej w fotelu wyciągnawszy kości,
Usnął, mając na ustach wyraz: „cierpliwości.”

NA PRADZE.

- Czego pan się tak tutaj od paru godzin kręci?
- Szukam autonomji Królestwa Polskiego.
- Na Pradze?
- A tak, bo mówią, że Koło Polskie, wyjeżdżając do Petersburga, do trzeciej Dumy, zgubiło podobno autonomję po drodze.

W KANCELARJI DUMY.

- Wasze błagorodje, dla polskich posłów został tylko jeden fotel.
- Do czwartej Dumy ten jeden fotel zupełnie wystarczy, ale teraz posyłajcie na gwalt do stolarza, niech jeszcze dziesięć dorobi. Mogą być prostej roboty, bo to na krótko.

PODWÓJNIE.

- Ależ ten Stessel skrzętny był w Porcie Artura w chowaniu. Robił to, jak widać z procesu, aż podwójnie.
- No?
- Siebie chował i sobie chował.

CZEGO SIĘ MOŻNA SPODZIEWAĆ.

- Przepraszam pana, jak pan myśli, czego się można spodziewać po trzeciej Dumie?
- Czwartej, proszę pana, czwartej.

BAL W DUMIE.

(Urywek z poematu.)

Guczkw (do *Puriszkiwicza*).

Podaj mi rękę twoją, panie,
Stworzymy razem blok.

Puriszkiwicz.

Dobrze, lecz pomnij me żądanie:
Na lewo — ani krok.

Guczkw.

Czyżem ja kiedy szedł na lewo?
Wstrętny mi taki ruch.
Ja chcę kadeckie zniszczyć drzewo,
Co rosło w Dumach dwóch.

Puriszkiwicz.

A więc pójdziemy razem w bloku,
Bo ja też tego chcę.
Wszak to kadeci w zeszłym roku
Z posiedzeń wyrzucili mnie.

Guczkw (do *październikowców*).

Dalej, panowie, dalej w tan!

(do *Puriszkiwicza*).

Jak ślicznie, lekko tańczysz pan!

Milukow (do *Lwowa*).

Patrz, patrz Guczkwowa, jak się wije,
Kiedy do Dumy wszedł;
Przed mundurami zgina szyję,
Przed czarną sotnią grzbiet.

Lwow.

On się na lewo nie poruszy,
Bo pragnie tekę mieć.

Rodiczew.

Wpadł mąż ten, widzę, już po uszy
W Puriszkiwicza sieć.

Puriszkiwicz (do *Guczkwowa*).

Więc stań pan do mnie *vis-à-vis*.

Guczkw (*uśmiechnięty*).

Jakże przyjemnie mi!

Puriszkiwicz.

Będziemy w Dumie wiedli rej.

Guczkw.

Bunt wszelki zniszczym... hej!

Sazonowicz.

Raz mnie wyleli z awanturą,
Dziś się odmienił los:
W przydjum Dumy trzymam pióro
I wnoszę w górę nos.
Choć się lewica na mnie krzywi,
Człek o to ani dba;
Drżycie kadeci niegodziwi,
Gdy sekretarzem ja.

Guczkw (*patrzy dokoła*).

Ach, jakiż skład dobrany jaki!
I na nas przyszedł czas!

Rodiczew.

Gdy zaczną krakać czarne ptaki,
W Dumie zagłuszą nas.

Aleksiejew.

Niech się Polaczek jak chce złości,
Nic nie poradzi tu!
Jestem wybrany od mniejszości
I pieprzu zadam mu.
Dobry znalazłem kąsek sobie,
Muszę to przyznać sam;
Zrobię co w Dumie, czy nie zrobię,
Karjerę pewną mam.

Sazonowicz (*do Aleksiejewa*).

Pójdźcie do tańca ze mną, kumie,
Podaj mi swoją dłoń.

Aleksiejew (*w podskokach*).

Allons! Polaczków zgnębim w Dumie,
By wpadli w bagna toń.

Guczkw (*do lewych październikowców*).

Czemuż stoicie tak panowie?
Nie radziście z tych zmian?
Przecież to taniec, co się zowie,
Istinno-ruski tan.

Prof. Kapustin.

Dziękuję panu najstokrotnie,
Tańczyć lubimy, lecz...

Kiedy do czarnej wlałeś sotni,
Pójdziem od ciebie precz.

Guczkw.

Mniejsza! ja bez was się obejde,
Gdy moim druhem ten.

(*Wskazuje na Puriszkiewicza*).

Do ministerjum i tak wejde,
Ziści się słodki sen.

(*do Puriszkiewicza*).

Jam twój na wieki brat i druh,
Zniszczymy bunt we dwóch.

Puriszkiewicz.

Kiedy połączym swoje siły,
Uda się każdy plan.

Guczkw.

Więc tańczmy dalej, sercu miły,
Istinno-ruski tan!

PROGRAM NAJBLIŻSZYCH KONCERTÓW FILHARMONJI

których by każdy z nas chętnie wysłuchał.

1/X 1907 Koncert popularny.

Marsz: „Zniesienie stanu wojennego“.

Pieśń: „Niema strajków, niema już.“

Barcarolla: „Za górami, za lasami, gdzieś tam lokaut żył“.

15/X 1907 Koncert Symfoniczny.

Beethoven op. 9491: „Rapsodja autonomiczna na tle melodji polskich z 1815 roku“.

Hayden: „Sonata au claire de Duma, na 60 głosów polskich“
i t. d. w ten sens.

JESZCZE SIĘ TEN POLAK NIE NARODZIŁ, COBY ISTINNO-RUSKIM DOGODZIŁ.

Gdy w drugiej Dumie Polak głos zabierał,
Razem z innymi chciał się wziąć do pracy,
Krzyczał Suworyn, patryjotów generał:
„Do spraw się naszych mieszają Polacy!

To jest intryga polska i nachalstwo,
Które „istinnym” kłopotów przyczynia,
Niech im natychmiast przykaże naczalstwo,
By pilnowali swego Przywiślinia”.

Gdy w trzeciej Dumie Polak rzekł: że w sprawach
Chce mówić, które Królestwa dotyczą,
Wnet gniew wybuchnął na prawicy ławach
I Mienszykowy z oburzeniem krzyczą:

„Oto Polaków są uczucia wraże!
To seperatyzm polski, do stu biesów!
Niech im natychmiast naczalstwo przykaże
Ogólnych państwa strzedz też interesów!”

Biedny Polaku! Tak źle, tak niedobrze
I na to widać już sposobu niema;
Jakkolwiek grałbyś, to w tym dumskim robrze
Zawsze dostaniesz jednakowo szlema.

Czy chcesz hazardu, czy idziesz z ostrożna,
Zawsze cię różne Suworyny zgniotą;
Gdy więc „istinnym” dogodzić nie można,
Trzeba zupełnie nie starać się o to.

NIEZDROWY DLA NAS KLIMAT.

- Czy klimat w Petersburgu jest zdrowy?
- Jak na czyj organizm; Polakom nie służy.
- Proszę o dowód
- Weź pan do ręki historję Dumy, to się pan przekona.

BRAK STEMPLA POLITYCZNEGO.

- Chodźcie do Władków?
- Nie wypada.
- Dla czego?
- U nich jeszcze ani razu nie było rewizji.

ZA DUŻO DWA GRZYBY...

- Tatusiu, dla czego naszego stróża zabili?
- Bo on miał nadzwyczaj delikatny słuch.
- Co to komu szkodziło?
- Toby nie nikomu nie szkodziło, tylko, że on był także chory na język,

MÓGŁBY SPOWAŹNIEĆ.

- Skąd wracasz?
- Z posiedzenia przedwyborczego.
- Nie rozumiem, że ty się też wiecznie możesz głupstwami zajmować. Mógłbyś raz spoważnieć.

TEN WEWNĘTRZNY.

- Ja tam i w tę trzecią Dumę nie wierzę.
- Skąd ci to przyszło?
- Tak mi coś wewnątrz mówi.
- Słuchaj, powiedz no ty temu wewnętrznemu, żeby do ciebie lepiej nie gadał, bo cię jeszcze za niego do kozy wezmą.

LIST GOŃCZY.

Pan naczelnik powiatu chodził wielkimi krokami po swoim gabinecie urzędowym.

Był to młody, trzydziestokilkoletni mężczyzna, niedawno mianowany na tę posadę z zupełnie innej dekasterji, nie zdążył więc jeszcze posiadać trudnej sztuki rządzenia ludźmi i wprowadzania porządku do kraju, leżącego na kresach państwa.

Nie pojmował jeszcze, iż główną zasadą tej sztuki jest przyjmowanie i wysyłanie papierów, opatrzonych odpowiednimi numerami, oraz zawiadamianie od czasu do czasu wyższej władzy, że wszystko w powierzonym mu powiecie znajduje się w porządku.

To też wprawiały go w kłopot takie wypadki, które doświadczony od niego urzędnik uważałby za drobny i niezakłócający codziennego biegu służby „incydent”.

W tej chwili właśnie świeżo nadesłany z gubernji papier sprowadził chmury na jego czoło i zmusił go do spaceru wielkimi krokami po gabinecie urzędowym. Papier ten, zawierający stanowcze, a trudne do wykonania żądanie, wyglądał mniej więcej w sposób poniższy:

M. W. D.
Kanc. gubernatora
№ 1,576,389

Do
Naczelnika powiatu

Doszło do mojej wiadomości, że polityczny przestępca niewiadomego nazwiska, stanu i pochodzenia, znak szczególny: ryży, przebywa w obrębie powierzonego WPanmu powiatu.

Wskutek tego polecam Panu przedsięwziąć jaknajenergiczniejsze środki w celu odszukania i ujęcia wyżej wymienionego przestępcy, niewiadomego nazwiska, stanu i pochodzenia, znak szczególny: ryży, a następnie odstawienia go niezwłocznie do rządu gubernialnego.

(Podpis)

Naczelnik powiatu odczytywał już gubernatorski papier po raz dziesiąty i za każdym razem wpadał w coraz głębszą zadumę.

— Znak szczególny: ryży- myślał sobie—to trochę za mało. Wyłapać wszystkich ryżych w powiecie i odstawić ich do gubernji? A nuż pośród nich tego właśnie ryżego nie będzie? Powiedzą, żem przegalopował i zamiast odznaczenia za gorliwość, wyśmieją jeszcze. Nieznaleźć ryżego niepodobna, bo to będzie niedbalstwo w służbie. Nagana za to może być, a jeszcze—nie daj Bóg—z zapisaniem do formularza. Czort bierz wszystkich ryżych i wszystkich politycznych! I djabli mu nadali mieć taki znak szczególny! Ot, bez nosa byłby, tak łatwiejby jego znaleźć można — a to ryży tylko. Tfu! — splunął naczelnik i już miał na ustach jakieś straszne przekleństwo na wszystkich ryżych tego świata, gdy wszedł woźny z oznajmieniem,

że wezwani przez naczelnika strażnicy stawili się w komplecie.

— Dawaj ich tutaj! — rzekł pan naczelnik.

Po chwili niższe stopnie stały przed obliczem zwierzchnika, który powitał ich przepisaniem: „jak się macie, chłopcy!”

— Zdrowia życzymy waszej Wielmożności — odpowiedzieli, według formy, podwładni.

— Wam niewiadomo, gdzie ukrywa się polityczny przestępca ze znakiem szczególnym: ryży?

— Nie możemy wiedzieć, wasza wielmożność — odrzekli chórem strażnicy.

— Może u którego z was w uczyłku siedzi? On że ryży — tak poznać łatwo.

— Ryżych to u nas niemało, wasza wielmożność — rzekł starszy strażnik — no, czy wszyscy oni przestępcy, nie możemy wiedzieć.

— Idźcie do czorta! — krzyknął naczelnik z gniewem i znów rozpoczął przechadzkę wielkimi krokami po gabinecie urzędowym.

Na samym początku urzędowania taka trudność! — rozmyślał posepnie. Może to przeszkodzić w dalszej karierze. I skądby tego ryżego wziąć? Ryżych niepolitycznych jest dosyć, a politycznego i w dodatku ryżego — niema. Dziś też przyprowadzono dwóch politycznie podejrzanych, ale jak na złość, żaden z nich nie ryży. — Oj, trudna służba na moją dolę wypadła — zakończył z westchnieniem.

Do gabinetu wsunęła się pocichu niepokaźna figura, której nos i policzki, mocno zaróżowione, świadczyły o zupełnym braku zamięłowań abstynenckich.

Był to jeden z niższych urzędników powiatu,

człowiek z rozległym doświadczeniem służbowym, który — jak się to u nas mówi — „z niejednego pieca chleb jadał”, a według urzędniczego wyrażenia — „przeszedł przez ogień, wodę i rury miedziane”.

— A! to wy Podpiwałów? — spytał naczelnik apatycznie. Co powiecie?

— Z raportem przyszedłem.

— Wy mnie dziś z waszemi papierami spokój dajcie. U mnie kłopot jest... nie daj Bóg, jak ciężki.

— Śmiem dołożyć, że na urzędzie naczelnika powiatu nie może być żadnych kłopotów. Ogłosić tylko, że pan naczelnik kłopoty ma, a wnet obywatele miejscy i wiejscy przyjadą i wszystkim kłopotom zaradzą.

— Bredzisz brat, Podpiwałów miły. Ot, tyby lepiej politycznego przestępcę ze znakiem szczególnym: ryży, znalazł.

— I to nie kłopot, panie naczelniku.

— Jak? jak mówisz, najmilszy? Ty tego ryżego widział? wiesz, gdzie on? a?...

Tu podał urzędnikowi fatalny papier

— Ot, widzisz: surowo polecono, żeby ryżego politycznego ująć i do gubernji odstawić. A skąd mnie jego brać?

— Niech się inni tem martwią, po co nam się biedzić. Główne: papier pilny, odpisać zaraz trzeba.

— Tak pisz, jeżeli chcesz, no choćby ty Salomon był, nic mądrego nie napiszesz.

Podpiwałów uśmiechnięty zasiadł przy biurku naczelnika i rozmachawszy rękę w powietrzu, zaczął skrobać po papierze.

Po dziesięciu minutach podał naczelnikowi następujący referat:

M. W. D.
Urząd powiatowy
№ 982,639
—

Do
J. Wielmożnego
Naczelnika gubernji.

Na otrzymaną dziś odezwę JW. Pana mam honor odpowiedzieć, że polityczny przestępca niewiadomego nazwiska, stanu i pochodzenia, ze znakiem szczególnym: ryży, wczoraj wyjechał do sąsiedniego powiatu i w powierzonym mi powiecie obecnie nie przebywa.

(Podpis).

Blask zadowolenia rozlał się po twarzy naczelnika.

— Zuch Podpiwałow! — rzekł po przeczytaniu referatu — ty mnie naprawdę z kłopotu wyciągnął i ja tobie pamiętać to będę. Ha! ha!... — śmiał się głośno — ryży wyjechał do sąsiedniego powiatu... Znaczący: my jego znali, widzieli, no nie było rozkazu, żeby łowić. I teraz wiemy, gdzie on... ha! ha! ha!...

— Chwat Podpiwałow — dodał, klepiąc urzędnika po ramieniu — ty u mnie najpierwsza głowa w powiecie... Salomon prosto!...

MYŚL EMERYTA.

— Ciągłe czytanie w pismach, że u nas są to: „prawdziwie ruscy ludzie“, to „prawdziwie“ żydowsy ludzie“, a o „prawdziwie polskich ludziach“ nic nie słyszę. Czyżby ich wogóle nie było, czy też im w Warszawie nie wolno mieszkać?



52.1020

